Opłata pocztowa opłacona gotówką.

27
GRUDNIA
Nr. 6 Rok I.
WARSZAWA 1936

Podbipięta
GAZETA TYGODNIOWA

Cena numeru 30 groszy

Redakcja i Administracja
WARSZAWA,
AL. UJAZDOWSKIE 39
tel. 714-67

Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową **1** zł.
Konto P. K. O. Nr. 24545
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148

Redakcja i administracja czynna jest w dnie powszednie w godz. 9—13 i 16—20.



Rys. M. Stieber Obrębska.

Szczęść Boże!

KRONIKA SWIATA

Exposé ministra Becka

Opinia nie zaniepokoiła się faktem, z którego minister Beck uznał za stosowne usprawiedliwić się przed komisją spraw zagranicznych senatu. „Wbrew swoim poprzednim obyczajom" poinformował izby ustawodawcze o położeniu międzynarodowym drugi raz w ciągu roku. — Obyczaj poprzedni był: raz na rok. — Czy był to obyczaj dobry? Stwierdzić wypada, że odstępstwo od niego nie uraziło nawet najlepiej wychowanych sanatorów. Urzędowe powiadomienie dwa razy na rok opinii polskiej i świata o aktualnych wytycznych polskiej polityki zagranicznej, nie jest to wcale za dużo. Eden, Hitler, Mussolini mówią na tematy zagraniczne, po kilkanaście razy na rok, lub częściej, gdy zajdzie potrzeba. Inaczej kontakt z opinią nie jest właściwie możliwy. Im rzadziej się mówi, tym bardziej ograniczać się wypada do zobrazowania sytuacji w liniach najogólniejszych, do przypominania podstawowych założeń, które obowiązują każdego polityka polskiego na tym stanowisku, założeń i wytycznych, wynikających wyraźnie dla Polski z obecnej sytuacji międzynarodowej.

Zadania polityki polskiej

Jakież jest dziś naczelne zadanie polityki polskiej? Utrzymywać rzeczywiście pełnowartościowy sojusz z Francją i rzeczywiście dobre stosunki sąsiedzkie zarówno z Niemcami, jak i z Rosją. Zadanie to, jak stwierdziło exposé, spełnione było w roku bieżącym lepiej, niż w latach poprzednich. Po raz pierwszy mianowicie w wykonaniu poszczególnych zadań ustaliła się potrzebna równowaga. Stało się to za przyczyną interwencji marsz. Rydza w sprawy naszego stosunku sojuszniczego z Francją, który obecnie przedstawia się normalnie. Normalnie również wypadł w exposé obraz dzisiejszych dobrych stosunków sąsiedzkich Polski z Niemcami i Rosją.

Gdańsk

Właściwy wyraz znalazło też w przemówieniu ministra zagadnienie stosunków polski - gdańskich. Podnieśliśmy to już w rubryce niniejszej przed dwoma tygodniami, że w stosunku do Gdańska polityka polska winna mieć plan raczej stuletni, niż pięcioletni. Polityka taka najdalsza musi być od ulegania wszelkim czysto nerwowym nastrojom. Że nastroje takie wytwarzały się w szerszej opinii, za to odpowiedzialność ponosi częściowo także kierownik polityki zagranicznej, który ze swej strony nie informował społeczeństwa.

W exposé natomiast słusznie zaznaczona była zarówno stanowczość, z jaką Polska obstawać będzie przy swoich prawach w Gdańsku, jak też przypomina fakt, że senat Wolnego Miasta w Gdańsku, we wszystkich swych oświadczeniach „istnienie tych naszych praw w sposób jasny i kategoryczny uznawał".

Polska a Czechosłowacja

W przemówieniu swym minister umyślnie pominął Czechosłowację. Jest to nietylko niedociągnięciem exposé, lecz także minusem uprawianej obecnie polityki zagranicznej. Stosunek bowiem Polski do Czechosłowacji wynika z przesłanek, tak pełnych treści, że zaledwie dadzą się one objąć nawet takiemi ogólnikami, jak: historia i geografia. Możnaby prawie dodać jeszcze: przyroda. Stosunek Polski do Czechosłowacji jasny być winien nietylko dla nas samych, lecz także i dla innych mocarstw zainteresowanych, w szczególności dla Niemiec. Nie należy wytwarzać złudzeń, że stosunek ten „à la longue" może być inny, niż pozytywny, na złudzeniach tych ostatecznie bowiem ucierpieć może sama Polska. Ważne jest przyzwyczaić opinię międzynarodową do tego, że współpraca Polski i Czechosłowacji (przynajmniej w szeregu spraw) jest czemś niemal równie naturalnym, jak sojusz Polski i Francji.

O zamorską ekspansję Niemiec

Ambasador Rzeszy w Londynie, p. von Ribbentrop wygłosił w klubie angielsko - niemieckim przemówienie w którym stwierdził, iż „dla podniesienia poziomu życia w Niemczech powyżej minimum egzystencji, Führer nie widzi innego sposobu, jak uzyskanie kolonij, pozwalających na wydobywanie z nich surowców i ponowne ożywienie handlu światowego". W ostatnich czasach pojawiły się w prasie zagranicznej pogłoski, zaprzeczone następnie, na temat możliwości odstąpienia Niemcom — w całości albo częściowo — afrykańskiej kolonii portugalskiej Angoli.

Jeszcze na parę lat przed wojną światową, przedwcześnie zmarły publicysta polski, Jan Purwin zwrócił uwagę tezą, którą wysunął w swych „Szkicach ekonomicznych", i w artykułach drukowanych w „Przeglądzie narodowym", mianowicie, że ekspansja zamorska Niemiec jest w pewnej mierze osłabieniem ich parcia na wschód, więc z polskiego stanowiska objawem raczej pożądanym. Trafność tego bystrego spostrzeżenia dziś dopiero zaczyna być w całej pełni widoczna. I w tym świetle staje się zrozumiała polityka angielska — zwłaszcza w pierwszych latach po Traktacie Wersalskim, wyraźnie wskazująca Niemcom zwrócenie się ku wschodowi, jako najbezpieczniejszy, najmniej ze strony Anglii mogący napotkać przeszkód kierunek ich dążeń odwetowych. To też zainteresowanie Niemiec problemami zamorskimi — i wynikłe stąd reakcje i komplikacje — winny być przez opinię polską śledzone ze szczególną uwagą.

Sprawy kolonialne i Polska

Nie mniej nie należy zamykać oczu na fakt, że i w tej dziedzinie mogłyby powstać sprzeczności interesów polskich i niemieckich, skoro i z naszej strony co raz wyraźniej — ostatnio znów w przemówieniu min. Becka — wysuwane są zagadnienia kolonialne, zarówno jako postulat sprawiedliwszego niż dotychczas rozdziału surowców w świecie, jak również i ze względu na możliwość emigracji, oraz (jak się to, u nas zabawnie mówi) usunięcia „nadmiaru" ludności żydowskiej (jakgdyby jakakolwiek ilość żydów mogła być dla Polski „w miarę").

Min. Beck nie powiadomił opinii publicznej, czy i co mianowcie osiągnął w kierunku urzeczywistnienia tych postulatów, sprawa zresztą jest niewątpliwie trudna i na terenie akcji dyplomatycznej poważne będzie musiała przezwyciężyć przeszkody. W każdym razie jednak jest niewątpliwe, iż emigracja żydów z Polski odbędzie się tym szybciej i gładziej, im prędzej położenie ich w kraju naszym będzie się układało w ten sposób, że wśród nich samych zapał do wychodźtwa zacznie stawać się żywiołowy i powszechny. Z Niemiec nie posiadających kolonij, emigrowała w ostatnich latach znaczna ilość żydów, częstokroć oddawna tam zamieszkałych. I obecnie już Rzesza Niemiecka może domagać się posiadłości zamorskich dla innych, nie związanych z wychodźtwem żydowskim celów.

Oliwa do ognia

Sprawozdanie parlamentarzystów angielskich, którzy przed miesiącem udali się byli do Hiszpanii celem „zbadania" 'rodków dla uczynienia wojny domowej mniej nieludzką", kończy się wezwaniem do udzielenia pomocy narodowi „pogrążonemu w nieszczęściu tak strasznym, że przekracza możliwość opisu". Nie łatwo dzisiaj, w atmosferze rozgrzanej walką, określić i zbadać wszystkie skomplikowane przyczyny, kttóre to rozdarcie wśród Hiszpanów wywołały i obecnie coraz tragiczniej je pogłębiają. Niewątpliwie jednak, pośród tych różnych przyczyn, zanotować należy również rolę żydów.

Nie tak dawno, w przemówieniu radiowym z Sewilli, generał powstańczy Quieno de Llano oznajmił: „W Asturii wojska nasze zajęły kilka domów, należących do żydów, gdzie znalazły wielkie ilości dynamitu, jak również materiałów propagandowych, drukowanych czcionkami hebrajskimi.. Prawda, — dodał generał generał — „że odsetek żydów w Hiszpanii nie jest tak wysoki, jaki był w Niemczech, nie mniej jednak nie należy zapominać, że i naszym nie brak zuchwalstwa i chciwości...".



SŁUCHAĆ HADKO!!

Nawet w rubryce „Słuchać hadko!" bywa żenujące zajmować się zbyt już jaskrawymi objawami nonsensu. Senatorka Fleszarowa, poparta w tym przez socjalistycznego „Robotnika", wyraziła oburzenie, że Prymas Polski udzielił wywiadu jednemu z dzienników zagranicznych, nie otrzymawszy na to **upoważnienia** ze strony M. S. Z. „Ofensywa kleru na **wolność obywatelską** — wołała sen. Fleszarowa — idzie na całej linii".

Zaczynamy rozumieć: wolność obywatelska polega na tym właśnie, że obywatelowi zakazane jest rozmawiać z przedstawicielem prasy cudzoziemskiej, jeżeli nie ma na to osobnego upoważnienia ze strony czynników urzędowych. Niewolą jest, jeśli takie upoważnienie nie jest potrzebne...

*

Nie „słuchać hadko!", ale patrzeć... Księgarnia „Biblioteki Polskiej" w Warszawie umieściła w swojej witrynie, — jako jedyną ozdobę na zbliżające się Święta — dwie ogromne małpy z tektury z nutami w łapie, z gębami rozdziawionymi, jakgdyby śpiewały kolendy...

Rozumiemy, iż zarząd księgarni pragnął w ten sposób uplastycznić swoje uczucia radosne jakiemi przepełniony jest z powodu nadchodzącej Gwiazdki. Rozumiemy, ale czyż jako upostaciowanie swego stanu duchowego, nie trafniej uczyniłby, umieszczając tam poprostu — starego, tradycyjnego osła z szopki?...

Podobno... napewno...

PUŁKOWNIK KOC BEZ PROTEKTORATU

W dobrze poinformowanych sanacyjnych kołach politycznych ustaliło się przekonanie, że akcja płk. Koca nie znajdzie już poparcia ze strony czynnika decydującego i że po wystąpieniu płk. Koca zachowana będzie przez ten czynnik całkowita rezerwa. A więc tym samym obecny komendant Związku Legionistów zdany będzie na własne siły i swych przyjaciół.

MIEDZY SŁAWKIEM I GRAŻYŃSKIM

Czy w tych warunkach zaniecha on dalszych wysiłków organizacyjnych? Należy przypuszczać, że nie. że przeciwnie wytęży wszystkie siły i z dużym uporem chociaż wolno dążyć będzie do stworzenia organizacji.. Wątpliwe jest jednak ażeby większe grono osób mogło się tym zainteresować. Wobec tego niepowodzenia płk. Koca coraz częściej w sanacyjnych kołach zastanawiają się nad drogami wyjścia z tej sytuacji, przyczym wskazuje się na dwa rozwiązania. Pierwsze byłoby odwołaniem się do płk. Sławka, drugie polegałoby na porozumieniu z „Naprawą", a więc przede wszystkim z jej szefem wojewodą Grażyńskim. Podkreśla się więc dzisiaj, że „Sulejówek" Sławka jest tylko częściowy, że stosunki między jednym z najstarszych Piłsudczyków a Marszałkiem Rydzem cechuje wzajemny, głęboki szacunek co znalazło ostatnio wyraz w nieujawnionej instrukcji wydanej w sprawie honorów, jakie mają być oddawane płk. Sławkowi. Wbrew pogłoskom można z całą pewnością twierdzić, iż między płk. Sławkiem i al. Ujazdowskimi wszystkie mosty nie zostały spalone. „Naprawa" wysunęła się ostatnio na pierwszy plan nietyle dzięki zdobyciu jakiś wpływów w cbozie czy w społeczeństwie, ile dzięki zwartej i solidarnej organizacji opartej na treningu konspiracyjnym. Na tle chaosu obecnego „Naprawa" odbija dyscypliną i wysokim stopniem zorganizowania. Stąd też powstają pogłoski, iż ten fakt może skłonić czynnik decydujący do powierzenia obecnie tej grupie politycznej poważniejszej misji. Gwałtowna reakcja na ostatni atak Mackiewicza świadczy, że naprawiacze oceniają dla siebie sytuację jako bardzo korzystną, skoro przeszli do ofensywy bardzo stanowczej, po raz pierwszy od śmierci Marszałka Piłsudskiego za którego mogli wprawdzie egzystować, ale nie mogli rozwinąć swoich wpływów. Atakując czołowego publicystę konserwatywnego mogą oni pozyskać dla siebie radyaklną część obozu sanacyjnego, rachując być może równocześnie na radykalne nastroje w najwyższych kołach oficjalnych.

PRASA WOBEC PROCESU MACKIEWICZA

Należy jednak podnieść, iż prasa wszystkich niemal kierunków w sprawozdaniach z procesu Mackiewicz - Grażyński stanęła po stronie Mackiewicza, szczególnie wyraźne stanowisko pod tym względem zajęły poczytne dzienniki jak „Wieczór Warszawski", „Goniec", „ABC".

Należy to przypisać przede wszystkim temu, iż istnieje w związku z tym procesem, w prasie przekonanie, że niezależność opinii i odwaga cywilna prasy są bardzo ograniczone potęgą biurokracji. Stąd konieczność solidarności u dziennikarzy i publicystów, pragnących bronić swej niezależności.

DLACZEGO BĘDA W SEJMIE NIESPODZIANKI

Wniosek posła Dudzińskiego nowelizujący dekret leśny nie dotarł do plenum, ugrzęznąwszy w komisji budżetowej, która nie wiedząc co z nim zrobić odesłała go po długich sporach do podkomisji. Skład tej podkomisji wróży, iż dekret powróci mimo wszystko pod obrady Komisji Budżetowej, ale określenie terminu w którym to się stanie jest w tej chwili bardzo trudne. W związku z takim przebiegiem wypadków zapowiadana na ostatnie posiedzenie przedświąteczne rozgrywka między „Naprawą" a Kołem Rolników została odroczona na później. Głosowanie w Komisji Budżetowej potwierdziło jeszcze raz naszą tezę, iż w obecnej Izbie nie można nigdy przewidzieć wyników głosowania. Pochodzi to stąd, że pomiędzy dwiema skrzydłowymi grupami Kołem Rolników z jednej strony, a „Naprawą" z drugiej, istnieje jeszcze pośrodku Grupa Pracy, licząca około 60 posłów, ale stanowiąca bardzo luźny konglomerat. Rozróżnić w niej można trzy elementy: zwolenników p. Sławka, naprawiaczy i „Dzikich", chodzących własnymi drogami. Do takich posłów należą np. Pacholczyk, Zdzisław Stroński, Snopczyński, Pełczyńska, Bochmarski, Wielhorski, Widacki i wielu innych. Nigdy ne jest rzeczą jasną w jaką stronę przechyli się ostatecznie Grupa pracy. I stąd Sejm zgotuje niejedną jeszcze niespodziankę politykom chcącym uchodzić za znawców tej Izby i bawić się w przepowiednie.

LIKWIDACJA ORDYNACYJ I INNE WNIOSKI

Po świętach będą wzięte na warsztat różne projekty ustawodawcze złożone przez posłów jeszcze na poprzedniej sesji. W pierwszej połowie stycznia ma wejść również pod obrady wniosek wicemarszałka Miedzińskiego w sprawie likwidacji istniejących ordynacyj. Wniosek ten posiada duże szanse przejścia w Komisji, a więc tym samym i na plenum. Rząd mimo pierwotnych zapowiedzi ostatecznie nie wniósł ważniejszych projektów ustawodawczych. Stąd też w Parlamencie ustala się przekonanie, iż pragnie załatwić je na drodze dekretów i w tym celu zażąda w marcu pełnomocnictw.

OBIAD W AMBASADZIE ANGIELSKIEJ

Sprawozdanie podane w prasie z dyskusji nad exposé min. Becka robiło wrażenie, iż dyskusja nie została dokończona. Istotnie taki był przebieg wypadków. Jeszcze kilku mówców było zapisanych do głosu, gdy parę minut przed 8-mą powstał min. Beck i opuścił zebranie tłumacząc się obowiązkami dyplomatycznymi. Wśród senatorów poszedł szmer niezadowolenia. Faktycznym jednak sprawcą niedokończonej dyskusji był premier Składkowski. Albowiem min. Beck przygotowywał exposé na styczeń przed swym wyjazdem do Genewy. Tymczasem na skutek interwencji premiera musiał je wygłosić o wiele wcześniej, mając zaledwie dwa dni do przygotowania i ustalony już termin przyjęcia w ambasadzie angielskiej. Najbardziej interesująca część dyskusji nad exposé odbyła się oczywiście przy herbatce na przyjęciu urządzonym przez sen. Zdz. Lubomirskiego. Na tej herbatce min. Beck był głównie interpelowany przez sen. Fudakowskiego i senatorkę Jaroszewiczową, przyczym głównym tematem była sprawa gdańska i stosunki polsko niemieckie.

CZY STYCZNIOWY KONGRES LUDOWY WYPOWIE SIE ZA FRONTEM LUDOWYM?

Źle jest, jeżeli przedstawiciele arystokracji firmują swymi nazwiskami żydowskie interesy, ale jest również bardzo niedobrze, jeżeli znani polscy działacze lewicowi firmują żydowską akcję, mającą na celu zorganizowanie t. zw. Frontu Ludowego. Przykładem może tu być b. poseł Barlicki, stary działacz niepodległościowy, służący obecnie za szyld ideowy „Dziennika Popularnego". Od początku redaktorzy tego pisma czynią ogromne wysiłki w kierunku zbliżenia się do stronnictwa ludowego. Wybitni działacze ludowi, których nazwisk jednak się nie podaje, udzielają co parę dni wywiadów na temat wspólnych interesów Marksistów i chłopów. W ostatnim zaś wywiadzie z dnia 18. 1. znajdujemy ciepłe słowa nietylko dla stronnictwa ludowego, ale i dla grupy redagującej tyg. „Od nowa", które wskazywałyby na to, iż redaktorzy „Dziennika Popularnego pragnęliby i tam znaleźć sprzymierzeńców.

Cel akcji grupy p. Barlickiego jest jasny. Chodzi o przeforsowanie na styczniowym Kongresie Ludowym przyjęcia programowej tezy o konieczności tworzenia w Polsce Frontu Ludowego. Kongres ten dostarczy więc nam bardzo dużo ciekawych momentów politycznych.

JASKÓŁKI WYBORCZE P. STARZYŃSKIEGO

Komisaryczny Prezydent Warszawy jest znany powszechnie opinii jako chorąży obozu etatystycznego. Piastując od przewrotu majowego różne ważne stanowiska państwowe, pan Starzyński przyczynił się w poważny sposób do rozwoju etatyzmu w Polsce. Po objęciu przez niego stanowiska na Ratuszu, sądzono, iż gospodarka miejska zostanie znacznie rozbudowana i, że Warszawa stanie się conajmniej terenem takich samych eksperymentów gospodarczych jak dawny czerwony Wiedeń. Tymczasem rzeczy biorą inny obrót: Zamiast rozbudowy, pan Starzyński ogranicza gospodarkę miejską. Zamiast etatyzmu, forytuje prywatne życie gospodarcze. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest zlikwidowanie w Warszawie 13 sklepów Agrilu i zamierzone zniesienie pozostałych 50, mimo, iż Agril daje miastu dochody. Dlaczego zamyka się właśnie te przedsiębiorstwa, które są rentowne? Wyjaśnień należy szukać w przygotowujących się na wiosnę wyborach do Rady Miejskiej.

Zabiegi o popularność powodują przystosowanie gospodarki miejskiej do potrzeb koniunktury wyborczej, gdyż likwidacja Agrilu ma na celu pozyskanie kupiectwa, tak jak polityka inwestycyjna, sfer robotniczych. Prezydent może działać całkowicie, według własnych upodobań, ponieważ brak jakichkolwiek niezależnych naprawdę organów kontroli.

ZAMIAST POLSKIEGO FIATA POLSKI RENAUD

Prezes Tow. „Małopolski" dr. p. Hłasko bawi od dłuższego czasu w Paryżu prowadząc rokowania ze znaną firmą automobilową Renaud o budowę wielkiej fabryki samochodów w Polsce w Glinnikach małopolskich. Mówi się, iż kapitał francuski przeznaczony dla inwestycji miałby wynosić 60 milionów franków. O przebiegu rokowań szczegółowo są informowane władze wojskowe, które poświęcają tej sprawie dużą uwagę.

U żydów

P. Mair Grosman omawia na łamach „Hajnta" (Nr. 278) metamorfozę, jakiej podlegają żydowskie nazwiska.

„Wy pamiętacie prawdopodobnie historię, jak to Waserwic z Warszawy przekształcił się w ciągu kilku lat w mister Waters,a Na drodze z Polski do Ameryki odbyła się z nim metamorfoza. W Berlinie nazywał się on — Waserman; w Paryżu — La Fontayne w Londynie Waserman; gdy wreszcie osiągnął on N. York stał się już — Waters!"

Pan G. podaje jeszcze drugi przykład: niejaki mister Braun nazywał się w Hiszpanii — Ambari; w Niemczech — Bernstein; w Polsce — Burnstein; w Anglii — Branston i wreszcie w Ameryce mister Braun. Dalej p. G. pisze:

„Metamorfoza żydowskich nazwisk jest jednym z ciekawszych rozdziałów naszej historii... Żydzi zawsze zmieniali swoje nazwiska. Jak kameleony dopasowywali się oni zawsze do otaczającego nowego środowiska. Lokalnie brzmiące nazwiska służyły jako pewien rodzaj farby ochronnej... W wielu wypadkach tkwi pod tym wyraźne życzenie ukrycia żydowskości albo conajmniej ukrycia pochodzenia, aby nie drażniło ono gojów".

Przeszłość i Sienkiewicz

Gdy Sienkiewicz począł publikować Trylogię, Michał Bobrzyński już był wydał właśnie swoje „Dzieje Polski w zarysie“, Józef Szujski swoich „Historii Polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście“, Matejko już był namalował „Stańczyka“, „Kazanie Skargi“, „Rejtana“. I z wywodów naukowych, na pozór badawczych tylko, beznamiętnych, w rzeczywistości nabrzmiałych goryczą i bólem, i z wizyj artystycznych szła ta sama sugestia: surowe oskarżenie przeszłości narodu, jej grzechów, jej lekkomyślności, jej zaniedbań.

Pokolenie z lat osiemdziesiątych zeszłego wieku, z okresu najstraszniejszego w całych naszych długich dziejach ucisku i poniżenia, patrzyło na dawną Rzeczpospolitą z tym nie umiejącym przebaczyć wyrzutem, z jakim potomstwo, konające w nędzy i głodzie, myśli o przodkach, co roztrwonili nieprzebrane bogactwa. Do każdego wspomnienia przeszłości mieszało się uczucie żalu, każde najradośniejsze nawet zdarzenie z historii jawiło się przed oczyma wyobraźni w barwach posępnych, przyćmionych, jakgdyby oglądane było po przez zasłonę z krepy. Uwaga dziejopisarzy skupiła się na jednym straszliwym pytaniu: „Dlaczego Polska upadła?“, to zagadnienie stało się osią każdej historycznej syntezy, świadomie czy bezwiednie brane było za podstawę sądu o wiekach przeszłych, określało treść i ducha wyroku.

Sienkiewicz napisał Trylogię „dla pokrzepienia serc“. Siła jego uczucia i mistrzostwo jego kunsztu sprawiły, że pod jego piórem nasz wiek siedemnasty zalśnił na nowo bogactwem blasków i barw, jakże niezbędną przynosząc otuchę w tym najsmutniejszym, najbardziej szarym i beznadziejnym momencie naszych dziejów! Współcześni Sienkiewiczowi z wdzięcznością przyjęli to lekarstwo, krzepili się nim, jak zziębnięty podróżny winem grzanym, ale mniemali, że ten alkohol uderza im do głów, że osłabia bystrość ich wzroku, że po trzeźwemu rzeczy przedstawiały się mniej pięknie, niż ukazane w świetlistej wizji artysty. Sam Sienkiewicz bodaj niepokoił się, czy nie ubarwił zbytnio prawdy, i owe słowa końcowe o „pokrzepieniu serc“ brzmią potrosze jak usprawiedliwienie.

Dzisiaj, w odbudowanym już państwie, im bardziej wydobywamy się spod nastrojów i sugestyj epoki niewoli, tym naturalniej niknie w nas gorycz i pretensja w stosunku do przeszłych wieków, podnosi się owa zasłona z kiru, „która dotychczas wszystko kryła“, i oczom naszym ukazują się wartości dawnej Polski w barwach tak intensywnych i prawdziwych, jakich pokolenie „okute w powiciu“ nawet domyślać się nie było zdolne.

Życie we własnym Państwie stwarza pewne postawy duchowe, sposoby myślenia, odruchy, tak odmienne od psychiki narodu w niewoli, że dla nas dzisiaj dawna Rzeczpospolita zaczyna znowu być coraz bardziej bliska i zrozumiała, podczas gdy epoka porozbiorowa wydaje się czymś tak z innego świata, tak egzotycznym, jak stara Polska dla genercyj, urodzonych i wychowanych pod obcą władzą. Dziś widzimy, że obraz wieku siedemnastego u Sienkiewicza jest raczej zbyt ponury, niż zbyt jasny. Wizerunek życia szlacheckiego odmalowany w Trylogii, nie osiąga nigdy, pomimo wszystko, tej autentycznej radości i pogody, jaka bije z kart liryk sielskich Kochowskiego czy z pamiętników Paska. Autor „Ogniem i mieczem“, nawet chcąc stworzyć nastrój najbardziej słoneczny, mimowiednie zaprawia go bólem pamięci o katastrofie, która miała nastąpić za półtora wieku. I choć niektóre postaci historyczne idealizuje przesadnie, to właśnie przeciwstawiając je ogółowi, niejednokrotnie ocenianemu nie zbyt łagodnie, lecz przeciwnie, raczej w sposób nazbyt krytyczny i surowy.

Ale przecież, gdy uprzytomnimy sobie chwilę dziejową, w której Sienkiewicz pisał Trylogię, podziwem przejmuje nas potęga jego indywidualności, że *taką wizję* dawnej Polski potrafił stworzyć, on, wychowanek szkoły pozytywistycznej, i wbrew tak silnie oddziaływającym sugestiom epoki. Była w Sienkiewiczu jakaś staropolska tężyzna, staropolski humor i optymizm, które sprawiły, że przez niego właśnie wyraziła się wola narodu, wymagająca utrzymania jedności duchowej z przeszłością, że jemu właśnie dane było przeszłość tę ukazać w wersji własnej i takiej, którą współczesne mu i następne pokolenia mogły i musiały zrozumieć i pokochać.

Jan Rembieliński

Nieznane listy Sienkiewicza

Do nieogłoszonego dotąd nigdzie zbioru listów Henryka Sienkiewicza otworzył dostęp naszemu pismu hr. Edward Krasiński, ordynat opinogórski. Zasłużonemu mecenasowi sztuki składamy podziękowanie z głęboką wdzięcznością.

Jest to zbiór listów, pisanych do komediopisarza Edwarda Lubowskiego od r. 1876 do 1911. Ogółem mamy ich 35. Są wśród nich długie, będące raczej rozdziałami z pamiętnika. Są i poufne, pełne zwierzeń, jakie się czyni przyjacielowi, swemu drugiemu „ja“. Niektóre obfitują w wyborne spostrzeżenia, głębokie myśli, bystre sądy. Inne mają czar egzotyczności, są tam barwne wywody literackie, a gdzieniegdzie nawet styl staropolskiej fraszki.

Kolekcja nabyta we wrześniu r. b. od siostrzenicy E. Lubowskiego, jest obecnie własnością prywatną hr. Krasińskiego, który przekaże ją z czasem swej bibliotece.

Odkładając na później systematyczny opis tych cennych pamiątek, bierzemy przede wszystkim z nich to, co jest najbardziej interesujące i żywe. Nie będziemy też trzymać się niewolniczo chronologii, lecz ułożymy listy w kilka cyklów.

Na pierwszy ogień idzie list z Kairu, pisany przez Sienkiewicza po powrocie z głębi Afryki w przeddzień powrotu do Europy pod datą 16-go kwietnia 1891 roku.

Wiąże się on ściśle z wypadkami, wspomnianymi w dwóch ostatnich słynnych **Listach z Afryki**, lecz wnosi wiele zupełnie nowych wiadomości.

Dla pełniejszego zrozumienia atmosfery, w jakiej ten list powstał, przypomnijmy sobie warunki i nastroje Sienkiewicza pod koniec jego pobytu w Afryce, kiedy powtórny atak febry dał mu poznać, że — „z tymi klimatami nie ma co żartować“. Umieszczony w zanzibarskim szpitalu misyjnym, lubił wpatrywać się w ocean — literalnie „przytykający“ do gmachu szpitalnego.

„Widok morza — pisze Sienkiewicz — krzepił mnie nadzwyczajnie... Zdawało mi się, że widzę przed sobą otwartą drogę do domu... Po kilku tygodniach począłem żyć życiem nieomal roślinnym, w którym samo istnienie odgrywa większą rolę od uświadamiania wrażeń“.

W tym obcowaniu z morzem, Sienkiewicz, zmuszony przez chorobę do bezruchu, poczynił obserwacje, — którychby **nie upolował** w czynnym życiu łowieckim. Jakże mistrzowski jest np. opis wschodu słońca na oceanie, — może dlatego tak uderzający prawdą, że zrobiony został przez rekonwalescenta, dla którego przeżycia wzrokowe musiały zastępować prawie wszystkie inne:

„Noc blednie nagle. Na szklistych grzbietach fal zjawiają się dwie lub trzy szerokie błyskawice... i słońce wyskakuje z toni śliczne, rzeźwe, rzekłbyś: po smacznym śnie wypoczęte... Miałem wrażenie, że przyszedł wiatr i zwiał noc jednym podmuchem... Dzień przychodzi jak mocarz i skręca kark nocy w mgnieniu oka“.

A zaraz po tym **homeryckim** obrazie jakże uroczo i śmiało brzmi śmiech Sienkiewicza—już na statku, że „jedynymi rozsądnymi istotami w Zanzibarze są mewy, obojętne na cały rwetes“...

W listach, które ogłosimy na Nowy Rok, prócz humoru, występuje na plan pierwszy jeszcze i druga cecha znamienna Sienkiewicza: wrażliwość na czar kobiet.

Sienkiewicz lubi elegantki, ale ocenia ze znawstwem i te, które przy ładnej budowie, są **zacofane w modzie** i nawet — „nie słyszały w zasadzie, że dobry **gorset** więcej jest wart od dobrej figury“.

Nie jest to zresztą zasada samego Sienkiewicza: dla niego kobieta więcej zdobi suknię, niż suknia kobietę... Bo jak świadczą „Listy z Afryki“ częściej wspomina on o kolorze kobiecych oczu, niż sukien.

* * *

Podczas zeszłorocznego pobytu u ordynata w Opinogórze, zauważyliśmy wśród trofeów myśliwskich okolicznościowy obrazek Franciszka Kostrzewskiego, przedstawiający z humorem polowanie w Radziejowicach.

Niedawno wydana wyborna książka hr. Edwarda Krasińskiego opowiada barwnie o tym słynącym z gościnności na całą Polskę pałacu Radziejowickim, gdzie gośćmi bywali często i tłumnie wybitni polscy uczeni i artyści.

Obrazek Kostrzewskiego przedstawia polowanie, uświetnione obecnością Sienkiewicza dnia 25 stycznia 1894 r., gdy był on u szczytu sławy pisarskiej i — łowieckiej.

Kostrzewski obok Sienkiewicza, ubranego (w polskim styczniu!) w kostium myśliwców afrykańskich, umieścił **wywróconego krokodyla**, tego samego, o którym właśnie pisze on poniżej w liście z Kairu: **„Krokodyla jednego zabiłem z brzegu w rzece Wami“.**

Opodal w egzotycznym stroju Somalisa, — przedstawiony jest ni mniej ni więcej, tylko... ks. Chełmicki, późniejszy prałat i dyplomata, filar Rady Regencyjnej, — zawołany myśliwy (dziś już nie żyjący). Ciągnie on za ogon lwicę, zabitą przez Sienkiewicza — **pierzastymi strzałami**, które Sienkiewicz wystrzelił — **z dubeltówki...** Poniżej stoi hr. Edward Krasiński ze swoim ojcem, hr. Józefem. Z obrazu tego podałem najważniejszy fragment.

Wśród gości, podpisanych na tym wesołym dyplomie, figurują nazwiska Lubomirskich, Branickich, Łubieńskich, Platerów i Sobańskich.

* * *

Zaznaczamy, że w pierwodruku zachowaliśmy oryginalną pisownię Sienkiewicza i jego indywidualny sposób stawiania znaków przestankowych. Zastrzeżenia co do ogłoszenia sposobem t. zw. reporty wyjątków z listu straciły, oczywiście, po latach 45-ciu aktualność.

Stanisław Miłaszewski.



Sienkiewicz poluje w Radziejowicach. Fr. Kostrzewski, ze zbiorów hr. E. Krasińskiego.

HENRYK SIENKIEWICZ

LIST Z AFRYKI

Kair. Hôtel du Nil

16 kwietnia 1891. Czwartek

Kochany Edwardzie!

Zastałem twój list w Kairze, dokąd przyjechałem wczoraj po dwóch tygodniach podróży morskiej — i odpisuję zaraz. Dziękuję ci za pamięć i za wiadomości. Jak widzisz, wyniosłem całą skórę z Afryki, choć niewiele brakło — a byłbym ją tam zostawił. Miałem paskudną febrę, której dostałem w głębi lądu — na szczęście przy końcu łuku — a raczej koła, które zatoczyłem z Bagamoyo pod górę Pongwe. Czułem doskonale, że idzie o tę wyż wzmiankowaną skórę — i że jeśli zaraz nie wrócę, to pójdę pod baobab — więc choć byłem na pysznem terytorium myśliwskiem, wróciłem zaraz. Był do zrobienia jeszcze jeden cały marsz do Bagamoyo, i w gorączce, prawie w malignie, musiałem hyrpać przez błota, boso jeszcze sześć godzin (od 5 rano do 11-ej) w straszny, niewypowiedziany upał. Potem byłem w Misyi przez trzy dni, potem w szpitalu w *Zanzibarze* przez dwa tygodnie, gdzie mi było pysznie — potem siadłem na statek, na którym tego samego wieczora umarł Anglik — (piąty z rzędu w ciągu dwóch tygodni), który był moim kolegą szpitalnym. I na statku jużem był pewny, że się nie dam — bo i powietrze inne i trochę powiewu — choć jeszcze żar wielki. — Teraz jestem względnie zdrów.

Polowania popsuły mi się przez chorobę, ale jednak nastrzelałem się do hipopotamów dowoli. Jeden szarżował na łódź — i popełniłem gapiostwo, nie do darowania — oto przyłożywszy mu strzelbę prawie do łba, ciągnąłem za cyngiel lufki poprzednio wystrzelonej. W sekundę później, już mój hippos był pod wodą. Byłbym go i tak nie dostał, bo to takie żywotne, że z przestrzelonym mózgiem żyje jeszcze Bóg wie jak długo i zdycha o jaką milę dalej, ale swoją drogą, jestem dotychczas zły na siebie.

K r o k o d y l a jednego zabiłem z brzegu w rzece Wami. Antylopy widziałem o pięćset metrów, *bawołów wcale*. Lwa słyszałem raz w nocy.

Miałem 20 porterów — poczciwych murzynisków z kośćmi patrzących w oczy i gotowych na każde skinienie. Lubię czarnych ogromnie, a nie cierpię Arabów. Kraj widziałem piękny, gąszcza pyszne, drzewa ogromne — i wogóle jestem kontent z podróży. I co powiem, że mimo febry, pojechałbym tam chętnie jeszcze raz w życiu. *Misyjonarze* przechodzą imaginacyję.

Powiedz, mój drogi, Kościelskiemu, jeśli go zobaczysz, że obok listów Lavigerie *), te które on mi przysłał, były mi równie pożyteczne. W Bagamoyo Niemcy robili masę trudności: to, że jest wojna, to, że niema porterów, to że nie mogąc brać odpowiedzialności, nie mogą dać i pozwolenia etc. etc.

Na nieszczęście Wissmann, który jest tęgi i ucywilizowany człowiek, nie wyłonił się z *Massai* — więc w Bagamoyo były tylko takie sztywne prusaki z których każdy ma się za wielkorządcę.

Wysłuchałem spokojnie co mi mówiono o tem, że nie mogą dać pozwolenia i nakoniec pokazuję mój list, w którym był poprostu rozkaz, by panu H. Sienkiewiczowi nie robić trudności, dać pomoc etc. „A, w takim razie, niech pan przyśle jutro po pozwolenie“.

Na co ja bardzo grzecznie: „Czy pan nie sądzi, że ono jest zbyteczne?“ — I nie posłałem i poszedłem sobie jakby nic. Zresztą istotnie pozwolenie z Bagamoyo jest głupstwem, bo zaraz za miastem, zaczyna się kraj bezludny — ale gdyby nie list od Kościelskiego, mogli byli zabronić murzynom najmować się do mnie za porterów. Przywożę Kościelskiemu za to laskę ze skóry hipopotama.

Do Warszawy nie przyjadę za raz — muszę posiedzieć z dziećmi i trochę się wysapać. Zresztą, powiedz szczerze, czy nie lepiej mieć febrę nad Kingani, niż się kręcić w tych ciasnych stosunkach literackich, które opisujesz sam tak czarno.

Tem, widzisz, tłomaczy się moje „latawiectwo“. — Zastałem tu listów kopę. Powiedz p. Kr.**), że pisałem do nich z Zanzibaru dwa razy. Może ich listy nie doszły, bo jakiś statek rozbił się na morzu Czerwonem. Napisz mi słówko do Zakopanego co tam wogóle słychać w Warszawie. I jeszcze jedno: ja do ciebie piszę jak do przyjaciela, nie dawaj że, mój drogi, żadnych wiadomości ani wyjątków z tego listu na reportę. Ja tak tego nie cierpię. Uściskaj Henkiela, Bogusławskiego — pokłoń się bardzo serdecznie pp. Kras.**) i wszystkim znajomym. Ściskam cię.

H. S,

*) Słynny ze świętości życia i zasług duchowny francuski.

**) Krasińskim.

WANDA MIŁASZEWSKA

5)

SWIĘTY WIĄZ

POWIEŚĆ

— Wiadomo: bali się. Nadto tam straszno. Mówili, że tam Pan chodzi.

— Jaki „pan?"

— Musi, Traceuski... I do „ksiondza" chodzili... Ksiondz powiedział, szto heto, musi, diabeł. Ot, i przez to Borkiem nie chodził nikt, tylko drogą...

Westchnął stary, machnął ręką, zgorszony: Teraz, wiadomo, inne czasy nastały... Ludzie Boga się nie boją, ani diabła...

— A o diable... także coś wiecie?

— Co ja, paniczku wiem? Ja go, łaska Boża, nie widział Ale stary Łaban, ten z Syruciowiec, powiadają, widział go, jak ja was, paniczku, *ciapier wižu...* [4]).

— Gdzie to było? Dawno?

Strynkowski już się za język nie kazał ciągnąć. Popłynęło opowiadanie: Był on „kaliści" w kumach, ten Łaban. Wracał do chaty nocą. A akuratnie „u żydou *Straszna* nocz była" (Sądny dzień)... Ciemno, miesiąc za chmurę zaszedł... Idzie on, ten Łaban, i drogi pilnie patrzy... Wiadomo, w kumach był, to i wypił... Aż tu miesiąc z za chmury wyszedł. Popatrzył Łaban w niebo, aż tu diabeł „ponarlickaho Binsztejna" niesie... Panicz mały, to nie pamięta. Był taki żyd, Pinsztejn. Folwark tu miał przed wojną.

— Ponarlicę?

— Ale — ale! Po wojnie córka jego temu Skokowskiemu ziemię sprzedała...

— Wiem, wiem, — niecierpliwił się Kal — Więc co dalej?

— Więc paniczku mileńki, jak nie krzyknie Franciszek Łaban: „A ty kudy jaho wołoczesz? [5]). Kab ciabie...

I zaklął bardzo brzydko po „tutejszemu"... Tak się diabeł zląkł, tak i Binsztejna puścił... A ten, ledwie żywy, upadł do Dzietczykowego warzywnika, między kapustę...

Spojrzawszy na chłopca, Strynkowski zakończył uroczyście:

— A tak bolsz niczoho pro diabła nie czuwać...[6]) Tulki najwienc dzieuczata bajatsa... Ale ciapier i dziauczat nima! Wiadomo, po wojnie, ciapier takij narod, bez Boha Ojca...

Tyle powiedział stary. Reszty można się było dopytać, dokonawszy „wizji lokalnej". Zaraz nazajutrz dzieci wybrały się do Syruciowiec. Na samym końcu wsi, w pobliżu eks-żydowskiej posiadłości, stała chata Dzietczyka. Sam gospodarz siedział na przyzbie i palił papierosa, a jego baba właśnie przerywała rozsadę kapusty na grządkach. Chłopiec zsiadł z konia i uchylając czapki, powiedział grzecznie:

— My jesteśmy ze Starych Kątów.

— A szto wam treba? — zagadnęła kobieta, podniósłszy głowę i przypatrując się przybyszom.

— Jestem Karol Józef Borcysza, — odparł Kal — bo mój stryj też ma Karol na imię.

— Wiem, paniczku, wiem, — odezwał się ze swojej ławki Dzietczyk — Ja ze stryjem waszym na kaczki chodził, tut, na łuh [7])... A gdzie jon? Wrócił może?

— Nie On mieszka bardzo daleko. Aż na drugiej półkuli. Tam jest zawsze ciepło i są takie wyspy koralowe... Słyszeliście o takich wyspach, panie Dzietczyk?

Gospodarz pokiwał głową i odezwał się współczująco:

— Już jon, musi, szczaścia tutki nie znalazł. A wy, paniczku, co? Dziedzic was przysłał do mnie? Robota jaka jest?

Raptem wtrąciła się Hania, zniecierpliwiona długim wstępem:

— Myśmy chcieli zapytać, czyście wtedy diabła widzieli?

— Dzietczyk wlepił w nią zdumione oczy.

— Jak on się Łabana przeląkł — wyjaśniła niestropiona dziewczynka — i żyda Binsztejna cisną w wasz *aharod* [8]).

Gospodarz ciągle w osłupieniu wielkim przyglądał się osóbce, gadającej tak dziwne rzeczy z wysokości końskiego grzbietu. Otworzył tylko usta, ale milczał. Hania wskazała miejsce:

— Strynkowski wie, że Łaban mówił, że diabeł leciał tędy i upuścił żyda, o tu, gdzie posadziliście kapustę! — tłumaczyła wyczerpująco Hania i dorzuciła jeszcze: — Wtedy także rosła tutaj kapusta...

Nagle Dzietczykowa odsunęła koszyk z rozsadą. Wstała, prostując okazałą postać. Ręce, czarne od ziemi, wsparła na biodrach, a wytężona praca mózgu odbiła się na ogorzałem obliczu:

— Czekajno — rzekła do męża. — Stary Łaban, Franciszek, wspominał, jak wypiwszy, drogą szedł i kaliści tut zobaczył *Traceuskoho*... Może i nios Binsztejna, bo to było dawno, przed wojną... Ale nas w *ta pora* nie było u domu...

Popatrzyła na chłopca:

— A wy, paniczku, na sztoż tego żyda szukacie? Dawno jego nie ma, ani jego familii.

— Czort wie, gdzie ich poniosła... — dodał Dzietczyk. — A bolsz niczoho wam nie treba? [9]).

Historie o Tracewskim trzeba było zbierać ogromnie pracowicie, niemal słowo po słowie. Ile czasu musiała Hania molestować Teresę, zanim usłyszała w całości przygodę Szejny! Ile krzyżowych pytań wydobyło na światło dzienne dramat Antolki Piskunówny, której somnambuliczne ruchy i śmierć w rozkwicie młodości budziła w duszach dzieci dreszcz grozy!

Głównym źródłem „wiedzy tajemnej" była niewątpliwie Teresa, lecz trafiały się inne, małe źródełka. Każde święta, każde wakacje, dorzucały cenne ziarenko do tej miarki, którą przepełniło wreszcie najwspanialsze odkrycie, dokonane naturalnie przez Kala.

Staruszka miała słuszność. Dzieci „wszędzie wlazą i wszystko widzą". Dzieci, nim zatracą instynkt pierwotny, podobne są do młodych wyżłów. Begają, tropią, węszą — wystawiają zwierzynę w polu i w lesie — a gdy się porwie w górę, czy umykać zacznie po ziemi tajemnicze N i e z n a n e, — wtedy stoją przez chwilę osłupiałe, by radosnym ujadaniem obwieścić światu świeżą zdobycz i do utraty tchu gonić ją dalej po wertepach.

Kiedyś, w nieskończonych swoich wędrówkach, odkryli starą sosnę, a raczej c o ś na sośnie, co uszło dotąd ich uwagi: Były to ostrem jakiemś narzędziem wydłubane litery, a pod niemi serce, o kształcie, niespotykanym w anatomii. Napis musiał być dawny, — może miał kilkadziesiąt lat, — bo świeża kora, narastając, uczyniła rysunek prawie niewidocznym zdaleka. Jednak można było wyczytać wyraźnie, ponad sercem, duże, proste litery: A — K.

— Anna i Karol! — wykrzyknął Kal. — Widzisz, Haniu? To by mogły być nasze litery!

— Ja jestem Hanna — odrzekła, dotykając chropowatej kory paluszkiem i spytała po chwili: — Jak myślisz, może to były i c h imiona?

— Czyje?

— Syruciówny i... j e g o.

— Hm...

— To byłoby zabawnie, prawda? Żeby oni mieli także na imię Karol i Hanna.

Kal pokręcił głową:

— Wykluczone — powiedział po namyśle, zupełnie takim tonem, jak pisarz Kozakiewicz mawiał do ludzi, targujących się o cenę mąki. — O n a była poganką, a on... Niezupełnie jestem pewien, czy w bardzo dawnych czasach było w Polsce dużo Karolów...

— Za to teraz... Ty jesteś Karol i twój stryj jest Karol i twój dziad był też Karol...

— Nie, to twój dziad był Karol. Dziadzio Gołębiowski, ojciec twojej mamusi.

— Właściwie, to my jesteśmy bardzo dalecy krewni... Prawda, Kalu? Moja cioteczna babka, nie, moja cioteczna prababka, ożeniła się z twoim pradziadkiem. Teresa mówiła mi sto razy, ale to tak trudno spamiętać...

— Nic nie szkodzi, — odparł wspaniałomyślnie Kal. — Przecież dalecy krewni mogą się także bardzo kochać. A my się kochamy i nie przestaniemy, nawet jak będziemy dorośli.

— O, napewno! — odpowiedziała dziewczynka z głębokim przeświadczeniem. — Zdaje się, że mogę ci to przysiądz.

Dla upamiętnienia tak ważnej chwili, Kal ściął na tej samej sośnie kawałek kory i wyskrobał scyzorykiem, niezdarnie, lecz zupełnie czytelnie: K. B. — H. L.

Miała wtedy dziesięć lat, a chłopiec jedenaście. I tych samych wakacji Kal zrobił najwspanialsze odkrycie.

Znalazł w Tracewskim Borku ów słynny brzost, o którym Teresa wspominała tylekroć. Odkrył go zupełnie przypadkiem, zapuściwszy się z Hanią w tajemne serce lasu — za grzybami.

Drzewko było nikłe i wątłe, gdyż rosło w cieniu wybujałych świerków i sosen. Właściwie miało tylko jeden pęd, rozwidlający się wysoko w górze w kilka gałązek. Ale za to nisko, nad samą ziemią, pień brzostu wyglądał nad wyraz osobliwie. Nic podobnego wogóle nie istniało — ani w tym „Borku", ani w sąsiednich lasach.

— Haniu! Haniu! — krzyknął Kal takim głosem, że aż się przestraszyła. Garść żółtych „lisiczek" [10]) wydłubnych z pod mchu, zaznaczyła miejsce, skąd rozpoczął się bieg naprzełaj. I wreszcie zadyszana dziewczynka ujrzała dziwną scenę. Karol Józef, dwojga imion, Boreysza, przykucnięty pośrodku zacienionej, krągłej polanki — trwał nieruchomo w kontemplacji, a naprzeciw...

Tak jest. Naprzeciw twarzy chłopca wyłaniała się z ziemi bardzo dziwaczna postać. Był to jakby skulony, brunatny karzeł o napół psiem, napół ludzkiem obliczu. Z rozchylonej paszczęki wystawały wyraźnie zęby, małe sprytne oczko patrzyło nieco w bok, a nad czołem — właśnie nad niskiem czołem, widniał zaczątek rogów. Pokraka śmiała się pół-gorzko, pół-szyderczo, chociaż bezgłośnie.

Brzost ma twarde drzewo, nadające się wybornie na osie do furmanek chłopskich. Wieloletni rabunek coraz to nowych pędów, ścinanych w miarę, jak dochodziły do odpowiedniej grubości, — sprawił, że z pnia powstał taki dziwoląg. Wciąż świeże rany, zarastające z czasem, potworzyły narośle i zgrubienia. Nawet człowiek, pozbawiony całkowicie fantazji, mógł się tam dopatrzeć swojego konterfektu, zniekształconego przez naturę z diabelską złośliwością. Potwór szczerzył zęby na wschód, a po przeciwnej stronie drzewa była szczelina, przypominająca wejście do przedhistorycznej pieczary. Wejścia strzegła wyrzeźbiona w ciele brzostu krągła studzienka, pełna wody, w której pływało kilka martwych pająków.

Kal odetchnął głęboko i nie spuszczając wzroku z tej pokracznej, brunatnej bryły, spytał zduszonym przez wzruszenie głosem:

— Widzisz?

Skinęła głową. Bała się podejść bliżej. A nuż spłoszy najdziwniejsze zjawisko?... Może za chwilę ruszy się ono z miejsca i podąży wprost na nich?

Ale brzost, a raczej dziwaczny jego pień, tkwił nieruchomo w ziemi, a Kal powiedział uroczyście, donioskym szeptem:

— To jest Tracewski Pan. On tu mieszka.

Było to niewątpliwie j e g o drzewo. Dzieci miały przed sobą konterfekt nieszczęsnego Diabła.

(D. c. n.).

[4]) Teraz widzę.
[5]) A ty gdzie go wleczesz?
[6]) A tak już nic więcej o diable nie słychać.
[7]) Łęg, łąka bagnista.
[8]) Ogród-warzywnik.
[9]) A więcej nic wam nie trzeba?
[10]) grzyby, zwane też kurkami.

Niedokończony kopiec

Znacie zapewne te stacyjki. Kilka starych wagonów, wkopanych w ziemię, walące się budki i drzewka, usychające powoli. Przyjeżdża tu tylko proboszcz, dziedzice z sąsiedztwa, a rankiem dziewczęta ze wsi wożą nabiał do pobliskiego miasteczka.

I Okrzeja, zagubiona wśród pól podlaskich, nie inaczej wygląda. Smutno tu i pusto w długie jesienne wieczory. Naftowa lampa kopci przed stacyjką, orientując maszynistów, aby nie przejechali przystanku. W niedziele i święta schodzą się do nielicznych pociągów chłopcy z Kobylczyka, pośmieją się i porozmawiają, zobaczą, kto przyjeżdża z Łukowa lub Dęblina. Kasjer i zawiadowca stacji w jednej osobie ma z nimi trochę kłopotów, pilnuje, aby nie chodzili po torach, narzeka i wymyśla, ale lubi te odwiedziny. Nudno samemu siedzieć na odludziu.

W chłodny, listopadowy wieczór wysiadłem w Okrzei. Pociąg stał bardzo krótko. Czerwone światełko latarni, wiszącej na ostatnim wagonie, szybko uciekało w ciemności. Jak dostać się do Okrzei, leżącej od stacyjki tej nazwy o 4 kilometry?

Uprzejmy kolejarz informuje, że czasami przyjeżdżają tu chłopskie wózki, dziś jednak nikt nie przyjechał. Nie spodziewano się gościa i zarobku.

Poszedłem do Kobylczyka. Gospodarz z pierwszej chaty, do której wstąpiłem, chętnie zgadza się jechać. Zarobi 2 zł.

W ciemnościach choć oko wykol, długo jechaliśmy piaszczystymi drogami Podlasia. Chłop niewiele wiedział o Sienkiewiczu. Dziwił się, że ktoś specjalne przyjeżdża z daleka, aby zobaczyć budujący się w Okrzei kopiec ku czci wielkiego pisarza. O kopcu wiedział już więcej. Niezbyt jednak dużo słyszałem, gdy opowiadał o możliwościach zarobku przy budowie, a to najważniejsze. Mruczał coś w kołnierz kożucha, wymachiwał batem, a słowa leciały z wiatrem. Zrezygnowałem z rozmowy.

Gdyśmy dojeżdżali do Okrzei traktem Żelechów — Dęblin, woźnica uchylił czapki, chociaż w ciemnościach nie widziałem przydrożnego krzyża lub figury.

— A to kopiec — mówi, wskazując ciemniejszą na tle nocy plamę. Przed kopcem Sienkiewicza zdjął czapkę chłop podlaski.

* * *

Okrzeja i pobliski majątek Wola Okrzejska różne przechodziły koleje. Były własnością Samborzeckich, Leśniowolskich, Firlejów, Rostworowskich i wreszcie Cieciszowskich, — rodziny matki pisarza, Stefanii. Dziś Wola Okrzejska jest własnością p. Leona Bernsteina, katolika świeżej daty.

Różnie mówią, w jaki sposób dziedzictwo Cieciszowskich z rąk Adama Cieciszowskiego, rodzonego brata Stefanii Sienkiewiczowej, przeszło w ręce obecnego właściciela — Jakóba. W każdym razie p Adam miał „szeroką rękę".... Pomoc ówczesnego proboszcza okrzejskiego nie zawsze wystarczała, a handlarz okowity, Jakób Bernstein chętnie ofiarowywał swoje usługi i kiesę. W rezultacie w r. 1880 Bernstein nabył majątek z licytacji.

Obecny dziedzic Woli Okrzejskiej nie zdradza zamiłowań do pielęgnowania pamięci o krewniaku dawnych dziedziców. Kopiec ku czci Sienkiewicza stoi daleko od „białego domku" w Woli, w którym urodził się autor „Trylogii". P. Leon lubi spokój i dba o swoje wygody. Dlaczego kopiec miałby stanąć w Woli? Może byłyby kłopoty...

* * *

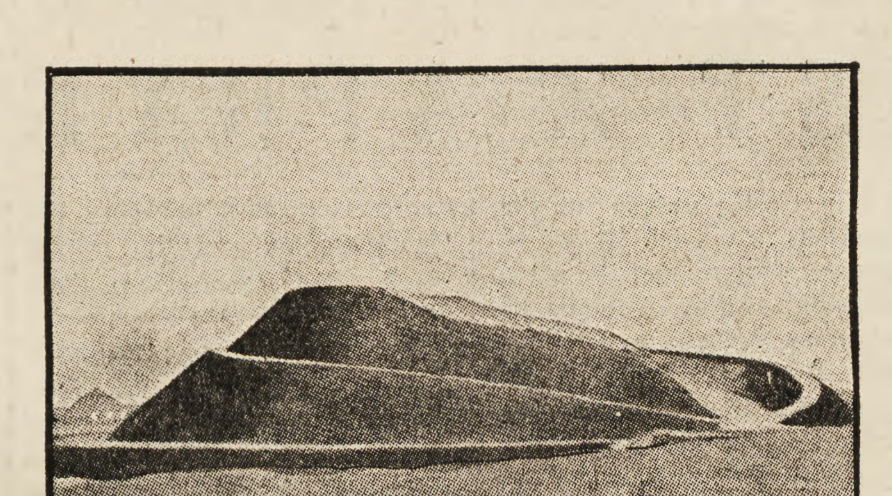
Okrzeja była kiedyś miasteczkiem. Nędzne przeważnie chałupy wiejskie rozłożyły się jakby wzdłuż wytyczonych dawniej uliczek, chociaż teraz zabudowanych bezładnie. Prostokątny plac przed kościołem pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła był zapewne rynkiem. Tutaj też ulokowały się sklepiki i apteka. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego" informuje, że kościół ufundowała w latach 1790 — 1793 wdowa po pisarzu w. kor. Adamie Cieciszowskim, Teresa z Lelewelów, ciotka historyka Joachima. Konsekracji kościoła w roku 1806 dokonał osobiście biskup kijowsko - czernihowski, a później łucko - żytomierski, Kacper Kazimierz Cieciszowski. Na uroczystości tej w Okrzei był również ks. Jan Woronicz, poeta, autor „Świątyni Sybilli", późniejszy arcybiskup warszawski i prymas, który nawet upamiętnił ten dzień okolicznościowym wierszem. W świątyni znajdują się pamiątki, godne uwagi znawców i miłośników przeszłości. W grobach kościelnych i katakumbach przy kościele spoczywają prochy członków rodziny Cieciszowskich.

* * *

Z ks. Kresą, proboszczem miejscowym gawędzimy więc o kopcu, który jest niewątpliwie jego dziełem.

Gdy w r. 1924 zwłoki H. Sienkiewicza przenoszono do katedry warszawskiej, biskup Podlaski, J. E. ks. Henryk Przeździecki wezwał do młodzieży szkół siedleckich, zgromadzonej na akademii ku czci autora „Quo vadzis", rzucił piękną myśl trwałego uczczenia jego pamięci przez usypanie kopca.

„Mistrz nasz, Henryk Sienkiewicz" — pisał Pasterz — „urodził się w Woli Okrzejskiej. Czyby nie było wskazane, a nawet konieczne, aby w miejscu jego urodzenia stanął kopiec na świadectwo, że Sienkiewicz serca nasze w górę zwrócił, oderwał od egoizmu, związał z umiłowaniem Ojczyzny, opartym na Bogu, źródle wszelkiej siły i piękna, na miłości, obejmującej wszystkich". I dalej: „Młodzieży ukochana, pamiętaj, żeś Podlaska, że Henryk Sienkiewicz z Podlasia. Tyś stróżem przyrodzonym kolebki Jego i Jego nauk".



Bez oddźwięku początkowo przebrzmiały słowa listu biskupa Przeździeckiego. I dopiero gdy w Okrzei osiadł w charakterze proboszcza ks. dr. Antoni Kresa, myśl nabrała realnych kształtów. Ks. Kresa zorganizował stowarzyszenie p. n. „Komitet budowy kopca - pomnika H. Sienkiewicza w Okrzei". Założycielami Komitetu byli m. in.: J. E. ks. biskup dr. H. Przeździecki, prezes sądu okręgowego w Siedlcach S. Szydłowski, gen. Sikorski, starosta łukowski dr. J. Siokało, proboszcz okrzejski, ks. dr. Kresa, dyr. J. Stemler.

Komitet w pierwszym stadium swojej działalności napotykał duże przeszkody. Brak było zrozumienia dla jego poczynań zarówno w szerszych kołach społeczeństwa, jak też u władz, wsłuchujących się pilnie w odgłosy bojów staczanych przez prof. O. Górkę o „prawdę historyczną" w arcydziełach Sienkiewicza. Gdy jednak minął paroksyzm odbronzowienia, gdy kierownicy szkół powszechnych zaczęli rozpieczętowywać listy Komitetu — odbyła się wreszcie w dniu 1 września 1932 r. uroczystość rozpoczęcia sypania kopca.

„Niech ten kopiec podnosi się coraz bardziej w górę" — pisał w liście do Komitetu J. E. ks. biskup Przeździecki — „niech rozprzestrzenia coraz szerzej umiłowanie Ojczyzny, które Wielki Mistrz, Wielki Miłośnik Ojczyzny i niezmordowany jej pracownik gruntował, zapalał, potęgował w sercach rodaków, który imię Polski daleko poza jej granice an świat cały zaniósł".

— Przewleka się ta praca, przewleka — skarży się ks. Kresa.— Nie mamy pieniędzy na dokończenie budowy. Niestety nie skończyliśmy na 20-tą rocznicę śmierci pisarza. W kasie jest 50 zł., a trzeba przeszło 3 tysiące...

Oglądałem kopiec w jego obecnym stanie. W odległości 1400 metrów od kościoła, a 3 klm. od Woli Okrzejskiej przy trakcie Żelechów — Dęblin, kopiec buduje się według wzoru kopca Adama Mickiewicza w Nowogródku. Kopiec ma kształt ściętego stożka o 40-metrowej średnicy podstawy i 12,5 mtr. wysokości. Na szczycie stanie kiedyś pomnik lub krzyż, byle tylko kopiec został możliwie szybko wykończony. Pocieszam ks. Kresę, że społeczeństwo nie zawiedzie wswojej ofiarności. PKO Nr. 143.913!

Wracając z kopca, wstąpiliśmy na cmentarz, gdzie spoczywają zwłoki matki pisarza. „Stefania z Cieciszowskich Sienkiewicz zmarła 1-go września 1873 r." — głosi prawie zatarty napis na skromnym nagrobku. Nie było miejsca w podziemiach okrzejskiego kościoła dla trumny Stefanii, która oddała serce skromnemu szlachetce, dziedzicowi jakichś tam Grotek?

Na porośnięty mchem kamień grobowy czyjaś litościwa ręka położyła kilka gałązek jedliny. Było to w Dzień Zaduszny. Ta sama pewnie ręka przybrała zielenią pomnik 10 Nieznanych Żołnierzy, poległych w r. 1920. Cicho i spokojnie jest na typowo wiejskim cmentarzu w Okrzei...

* * *

Rankiem 17 listopada sygnaturka nawoływała wiernych na nabożeństwo za duszę ś. p. Henryka Sienkiewicza. Pusto jednak było w kościele. Nikt nie przyszedł z mieszkańców Okrzei. Nie stawili się też okoliczni ziemianie, wśród których sporo jest krewnych pisarza. Jedynie gromadka wymizerowanych i obdartych dzieci szkolnych wsłuchiwała się w żałobne pienia kapłana. Zapomniano o Sienkiewiczu w jego rodzinnych stronach. Przecie 20 lat minęło, jak umarł... Kawał czasu.

Reporter.

Chleb powszedni Skargi

Przy próbach kreślenia charakterystyki Skargi nigdy nie będzie momentem zbędnym zwrócić baczniejszą uwagę na jego w roku 1568 decyzję przejścia z kleru świeckiego do zakonu o. o. Jezuitów. Zestawmy daty:

Urodzony w r. 1532, ma więc wówczas lat trzydzieści sześć, święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1563; pięć lat tylko upłynęło mu w służbie Kościołowi zanim przywdział habit — i jakąż karierę (wyrażając się nieco uproszczonym sposobem) zdobył w hierarchii eklezjastycznej przez te krótkie pięć lat? Probostwo w Rohatynie, jedno ze znaczniejszych w diecezji, kanonia lwowska, kanclerstwo kapituły! Trzydziestosześcioletni ksiądz, tak pośpiesznie kroczący po szczeblach dostojeństw swojego stanu, czy mógłby liczyć na dalsze awanse? Tutaj zdania są podzielone.

Historycy zwracają uwagę, że Skardze, synowi mieszszczańskiemu, trudno by było marzyć o infule; są tacy biografowie przyszłego kaznodziei królewskiego, którzy podejrzewają, że z tego to powodu wolał przywdziać suknię zakonną, we wpływach Jezuitów licząc na możliwe wysokie stanowiska. Zwraca się też uwagę, że w Polsce ówczesnej jedyna diecezja Warmijska dawała możność księdzu nie-szlachcicowi sięgać po biskupstwo i nawet purpurę kardynalską, jak tego przykładem był Hosius. Dobrze, ale czy dla tak wyjątkowo zdolnego, w młodych latach już obdarzonego kanclerstwem kapitularnym kanonika nie dałoby się wyjednać biskupstwa właśnie warmijskiego? Potrzeby by na to silnej protekcji? Tę miał Skarga: Tęczyńscy, Tarłowie. Nie popełnialiby nadużycia, gdyby protegowali Skargę: dopominali by się o pastorał dla jednego z najinteligentniejszych i najgorliwszych w wierze księży współczesnych, znakomitego organizatora.

Ale choćby nawet nie było mowy o dalszych wywyższeniach w ramach kleru świeckiego, to czyż już sama kanonia lwowska i kanclerstwo kapituły nie było czemś — w życiowych kategoriach rzecz biorąc — czemś wyższym od rozpoczynania służby zakonnej? Kroiły mu się w przyszłości zaszczyty z poręki Zakonu? Nawet i to przyjmując za możliwość, co trzeba wziąć pod rozwagę? Byłyby to jedynie **obietnice**, niczem nie zagwarantowane, gdy uzyskane już dostojeństwa lwowskie były **faktem**. Żadne domysły i żadne hypotezy o karjerowych impulsach Skargi przy wdziewaniu habitu zakonnego nie zmienią niespornej prawdy, że jeden z wydatniejszych kanoników w swojej kapitule **degradował** się dobrowolnie, gdy wstępował do nowicjatu o. o. Jezuitów, że więc tylko idealistycznych pobudek szukać należy w jego postanowieniu. Nie był Skarga jedynym wówczas księdzem świeckim, którego pociągnęła aureola dzieła św. Ignacego Lojoli, dość tu wspomnieć choćby Stanisława Warszewickiego, ale nikt może tyle, co Skarga. nie tracił, doczesnym językiem mówiąc, przy zamianie fioletów na habit. Jakże silna, jak głęboka musiała w nim powstać **potrzeba wewnętrzna oddania całego** swego życia nakazom klasztornym, pokory, ubóstwa.

I jest coś niemal ekstatycznego w jego **radości**, doznawanej z praktykowania tych rygorów:

> Radbych obrócił oczy nam nieprzyjaznych, aby jakim okienkiem wypatrzyli, co się w tym zakonie dzieje. Napatrzyłby się każdy ubóstwa wielkiego, ujrzałby dziwną ku starszym powolność. Żywnostka, suknia i łóżko ubóstwem pokryte, próżnować niema czasu.

Osobiste uzdolnienia wysuwają go później na znaczne stanowiska, ale chyba znamy na tyle Skargę, by to określenie zmienić: na znaczne **obowiązki**. Nie było też w jego życiu takiej godności, którаby go zmusiła do rozstania się z umiłowanem ubóstwem. Jako kaznodzieja Zygmunta III-go, zamieszkały na zamku królewskim, nie tylko mógłby sobie pozwolić, ale nawet, ze względu na konieczności reprezentacyjne, powinien był zaaprobować jakąś wykwintniejszą kwaterę, — tymczasem, jak to stwierdza Birkowski:

> ktokolwiek wszedł do komórki jego, dziwował się każdy, iż tak ubogie łóżko, lawatarz, ławki, stoliki nie przybrane widział.

Możnaby przypuścić, że taka spartańskość odpowiadała przyrodzonemu, ludowemu usposobieniu Skargi. Prof. Windakiewicz z okruchów wiadomości, jakie współcześni zachowali o królewskim kaznodziei, wyłuskał szereg wniosków, że Skarga w przed-zakonnych swoich czasach znał się na wystawniejszym życiu, miał nawet „skłonność do zbytku Odrodzenia", co i zrozumiałe u dawnego towarzysza paniąt i magnatów. Dopiero więc ten decydujący przełom, który go zaprowadzi do Towarzystwa Jezusowego, przekreśla w nim wszystko, coby przeczyło dosłownemu sensowi prośby: „chleba naszego **powszedniego** daj nam dziś Panie", — powszedniego chleba, tego, co najniezbędniejsze do istniemia tu na ziemi — i nic więcej.

•

CZY ASCETA, CZY MARZYCIEL?

Radość ubóstwa, zdolność do wyrzeczenia się dostatków, niepamięć o sobie — wszystko to tłumaczy się jasno u natur, dalekich od rzeczywistości, albo u ludzi o wątłych impulsach, anemicznych pragnieniach, małej wyobraźni życia, — jasno się też tłumaczy u marzycieli albo u jednostek, skłonnych do abstrakcji, która kryje życie przed ich oczami. Czy to jest portret duchowy Skargi? Wszystkie te cechy stoją w żywej sprzeczności z autentycznym Skargą. Mózg jaknajdalszy od wszelkiej abstrakcyjności. Jego myśl ożywiała się najbardziej przy zetknięciu z dotykalną realnością czy to wiary, czy **życiowych** zagadnień Kościoła, czy ojczyzny, bliźnich. O tych jego właściwościach nic nam tak nie da wyobrażenia, jak ów wykład o istocie Sakramentów św., zawarty w kazaniu pierwszym o „Siedmiu Sakramentach".

Sakramenta święte — mówi tutaj:

> są jako wiadra, którеmi czerpamy wodę zbawienia ze źrzódła męki, wysług i śmierci Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Znaki sakramentalne, pod którymi Bóg dary łaski Swojej daje:

> nie są przyrodzone, jako jest dym, po którym się ogień i zorza, po której się wschód słońca i wonia, po której się ziele znaczy, — ale są z woli i z p o s t a n o w i e n i a, jako gdy kamień dla rozgraniczenia, abo chorągiew dla żołnierza postawią.

Znów gdy chce wytłumaczyć różnicę między niezbędnością chrztu św. a pomocnością innych sakramentów, np. Bierzmowania:

Bierzmowanie potrzebne jest

> nie tyle żeby zbawienie było, ale żeby bezpieczne było, jako: kto konia ma na drogę, bezpieczniejszy jest do jachania tam, gdzie myśli, choć też pieszo chodzić może.

O stosunku wiary do Sakramentów:

> Jako do rozniecania ognia suche drwa pomagają, aby ogień gorzał, ale mocy i gorącości ogniowi nie dają, bo moc i gorącość w samym ogniu jest, — tak wiara biorącego Sakrament, Sakramentom mocy nie daje, ale się do pożytku z nich brania, jako suche drwa do ognia, sposobi i przyprawuje.

Z mnogości innych wywodów wyjęte, te kilka przykładów świadczą, że Skarga zupełnie swobodnym się czuł w dziedzinie subtelnych precyzyj teologicznych, ale umysł jego nie spoczął, dopóki ze sfery pojęć oderwanych nie sprowadził ich na grunt przenośni czysto ziemskiej, a wysnutej z analogii jaknajbardziej potocznego życia: te wiadra domowe, ten kamień graniczny, znany każdemu słuchaczowi, to ziele, ten ogień na polu ze ścielącym się dymem, zdala oku widzianym, zanim się jeszcze ogień, ujrzy, ta zorza, zwiastunka wschodzącego słońca, ta chorągiew żołnierska, jako rzecz doświadczona przez każdego z ówczesnych Polaków, ten obraz konia zaprzężonego do drogi, ta użyteczność suchego drwa do ognia, którą poświadczy każda ze słuchających kazania gospodyń — wszystko to doskonale codzienne, realne. Czy tylko dla słuchaczów swoich szuka mówca tych porównań z uchwytnej powszedniości? Przeciętna wrażliwość artystyczna wyczuje, że i dla **samego siebie** Skarga uziemia tu czysto astrakcyjny element teologiczny — i że dopiero na osnowie jaknajbardziej konkretnej poetyzuje mu się i potężnieje to, co dla innych do wielkości dochodzi tylko w ramach Tajemnicy.

Uczuciowość Skargi nie miała nic z egzaltacji. — Nie był pozbawiony zmysłu humoru, w obcowaniu z ludźmi nie umiał się gorszyć wystawniejszymi ich biesiadami czy huczniejszym rozweseleniem się ich przy kielichu. Z ubogiej izdebki swej, z tej „komórki", jak ją nazywa Birkowski, bez zaniepokojenia patrzył na przepychy dworskie, na bogastwa możnych, na uciechy bliźnich. W oczach np. Savonaroli uchodzić by mógł pod tym względem za człowieka świeckiego. — Czy tak było, jak prof. Windakiewicz twierdzi o przyjaźniach Skargi, że „właściwie nie ludzi kochał, ale idee, które oni w głowie jego przedstawiali", że „przywiązanie jego do ludzi zbliża się raczej do bezosobowej adoracji ich przymiotów" — to sprawa do dyskusji, a zwłaszcza do porozumienia się, czem przyjaźń jest w zasadzie swej moralnej; — w każdym razie nie kto inny, lecz właśnie prof. Windakiewicz zestawił obszerną listę ludzi, dla których Skarga czuł serdeczną przyjaźń. Poza tem z zażyłością obracał się pośród mnóstwa osób, wiązały go z nimi ożywione stosunki towarzyskie, wszystko przemawia za tem, że daleki był od tych spotykanych nieraz konsekwencyj ascezy, które nas odsuwają od bliźniego. I w tej więc mierze nie było w Skardze nic z przesady, — i tu widzimy go, jako jednostkę uczuciowo zrównoważoną, t. zw. **życiową**.

Napróżno byśmy go sobie przedstawiali, jako gatunek psychiczny o takiem wysublimowaniu kontemplacyjności, przy którym niema już różnicy między kontemplacją a... pasywnością. Przeciwnie: Skarga jest doskonałym przykładem aktywności. Jeden z tych, którzy najskuteczniej umieją się modlić czynami swymi. Gdzie Skargę rozkaz władzy zakonnej przeniesie, tam jego pobyt znaczy się rozrostem działalności o o. Jezuitów, budową lub odnową świątyń, tworzeniem instytucyj. W Wilnie magna pars fuit przy przeistoczeniu kollegium w akademię, szkoły jezuickie tworzy w Połocku, Rydze, Warszawie i Krakowie. Talentem organizacyjnym wykazywał się zresztą nie tylko w tym zakresie, bezpośrednio wiążącym się z zadaniami Zakonu; na tle epoki widzimy go jako jednego z najenergiczniejszych, jeśli nie najenergiczniejszego twórcę rozlicznych urządzeń, które dziś wchodziłyby w dziedzinę Akcji katolickiej, albo nawet przypadały w udziale ideom czysto świeckiej pomocy społecznej.

REALISTA

Monumentalna świetność Skargi-kaznodziei, Skargi-pisarza, Skargi, jako poety słowa Bożego, na wtóry plan odsuwa naszej wyobraźni wizerunek Skargi, jako twórcy dzieł życia. A przecież tylko zarejestrować poczet tych dzieł:

Bractwo miłosierdzia, które spełniało to, co potem na Zachodzie rozrośnie się w czyn św. Wincentego a Paulo.

skrzynka św. Mikołaja, towarzystwo pomocy materialnej dla ubogich dziewcząt, głównie dla uchronienia ich przed nierządem,

bractwo św. Łazarza, skrystalizowane potem przez Skargę w czyn stworzenia szpitala dla ubogich,

bank Pobożny, lombard, użyczający pożyczek bezprocentowych pod zastaw, dla wyrywania z rąk lichwiarzy małych warsztatów rękodzielniczych i wogóle ludzi potrzebujących drobnego kredytu*).

To wszystko obmyślił i przemyślił, to wszystko w czyn wprowadził i trwałość działania tym przedsięwzięciom ugruntował. Wzory czerpał z Zachodu Europy, zwłaszcza z Włoch, ale był pierwszym u nas, który te wzory na polskim gruncie realizował, stając się przez to jakby patronem wszystkich późniejszych u nas instytucyj tego typu, współdzielczości nie wyłączając. Na ewangelicznym uczuciu miłosierdzia wyrastające, silnie zespolone z praktykami kościelnymi, — poczynania te noszą jednak na sobie znamię innej jeszcze właściwości Skargi: jego zmysłu praktyczności.

Natychmiast po wprowadzeniu w życie każdego z tych urządzeń, gospodarski syn, rządny Mazur Skarga krząta się koło tego, by idea nie zapadła w nieużytek teorii. Impulsy i uczucia chętnych natychmiast cementuje postanowieniami statutów, gdzie obowiązki członków poddane są wyraźnym rygorom, że tu dla przykładu zacytujemy choćby art. 6 i 7 statutu Bractwa miłosierdzia:

> Co tydzień dwa bracia z Bractwa do jednego szpitala w Krakowie i do więzienia iść mają, nawiedzając ubogie i więźnie, przynosząc im naznaczoną jałmużnę świecką i duchowną, jeśli z sobą kaplana, którуby ich do dobrego i cierpliwości upominał, mieć mogą. A białegłowy toż też czynić nie mają, ale nie z powinności, ani wszystkie, jedno które chcą, niosąc także z skrzynki ubogich jałmużnę naznaczoną.
>
> Gdy tego potrzeba, persony płci męskiej tego Bractwa, na to naznaczone, powinny stać u kościoła, prosząc jałmużny na takie ubogie, albo też i gdzieindziej na innem miejscu, i u osób, gdzieby była nadzieja pomocy, do domów chodząc, powinny jałmużny prosić.

Pouczucie rzeczywistości jeszcze wyraźniej się może odbije w wezwaniach i w wołaniach Skargi o założenie „Skrzynki św. Mikołaja" dla ubogich dziewcząt:

> Wizytuj, najdzesz dom taki, w którym zostaje wdowa z kilką urodziwych córek, nie masz ich czem odziać, nie masz czym karmić. Co myśli matka za oną nędzę? Córka, mówi, musi myśleć o sobie, albo czystość i wstyd przedać, albo głodem umrzeć. Znajdzesz takich rodziców, co sami córki swe do złego popychają i zaprzedają, drugich niewinne oczy i uszy wszystkiego się złego napatrzą i nasłuchają: przykłady złe i nieuczciwe i najlepszych wzgorszą. Cóż tu czynić? Zabiegać temu, broniąc czystości i grzechu pieniądzmi, opatrzeniem, jałmużną, jeśli rzecz potrzebna, za którą wielka odpłata, większa niżli żebraki karmić.

Na dwa wieki przed ustaloną teorią krymінologiczną, że przestępstwo czy grzech jest do pewnego stopnia produktem warunków socjalnych, na dwa wieki przedtem wygłasza Skarga tę zasadę w zacytowanym powyżej wezwaniu. Dziś dla nas to aksjomatyczne, co mówi tutaj o nierządzie, jako konsekwencji nędzy, ale w wieku XVI-ym brzmiało to może rewelacyjnie i kto wie? — może nawet nie jednego gorszyło? — „Skrzynka św. Mikołaja" była powtórzeniem instytucji włoskiej, stworzonej przez kardynała de Torrecramata? Setki innych Polaków do Włoch jeździły i o dziele tym słyszeć mogły, — jeden jedyny Skarga włoską instytucję pojął i sens jej zgłębił.

„Pieniędzmi bronić czystości" moralnej — ten ustęp z wezwania Skargi brzmi niemal drastycznie, a w każdym razie — materialistycznie. U tak świetnego stylisty nie mogło to być przejęzyczenie się; ten twardy zwrot to tylko odwaga wypowiedzenia się bez retorycznych obsłonek. Chcąc być szczerym, Skarga tak, nie inaczej, musiał napisać.

Gdy go sobie przedstawiamy li tylko jako kaznodzieję, postawionego na ambonie wysoko, między ziemię a niebem, ziemię nawołującego, by się stała godną nieba, — wówczas w tym ekstatyku wiary i patriotyzmu trudno nam się doszukać Skargi, który zszedłszy z kazalnicy, dotyka stopą twardej ziemi. Ten drugi Skarga przedstawi nam się zawsze jako umysł, dobrze odmierzający wszelkie możliwości, wolny od ułud, by rzeczywistość mogła przestać być rzeczywistością. Nie znamy bodaj żadnego jego pola działań praktycznych, gdzieby inicjował rzeczy, nie dające się doprowadzić do zwycięskiego końca. Można by zaryzykować twierdzenie, że głowa tego posybilisty zdolna była nawet marzyć o sprawach li tylko podatnych do realizacji. Jeden z tych, którzy zamiary mierzą na siły.

•

CHLEBA NASZEGO, NIE CHLEBA MOJEGO...

Umysł praktyczny, gospodarny, wola w działaniach obrotna, realista, — jakże to znowu pogodzić z tą radością osobistego ubóstwa, z tym ascetyzmem, o którym tak obrazowo mówi Birkowski, jak taką naturę pogodzić z absolutną niepamięcią o sobie?

Otwiera się ta zagadka nader prostym kluczem:

Skarga należał do ludzi, u których energia do czynu i zdolności do działania budzą się dopiero wtedy, gdy trzeba coś materialnego stworzyć dla bliźnich, nie dla siebie. Jeden z tych, którzy werset Modlitwy Pańskiej pomimowoli zmieniają w tekst: „chleba **ich** powszedniego daj **im** Panie". Przebiegając oczami spis instytucyj, powołanych przez niego do życia, widzi się, że wszystkie one powstały z troską o najbardziej potrzebujących i najbardziej cierpiących. O głodnych, o wydanych grzechowi przez nędzę, o więźniach, o chorych, o zaplątanych w lichwiarskie szpony. Wreszcie o ludzie pańszczyźnianym, o którego dolę upominał się z siłą, jakiej nie znaleźć u żadnego z innych humanitarystów w jego czasach.

Ten to Skarga, synonim aktywnego miłosierdzia, staje się nam przedziwnie bliski w naszej epoce, w latach, które nam z dopustu losów zesłano i w tej „strukturalnej" niemal niedoli materialnej, jaką tyle milionów przeżywa. Gdyby wśród nas dziś żył, naprózno by mu było wykresami ekonomicznymi dowodzić, że miłosierdzie nie przewalczy determinizmu gospodarczego. Nie uwierzył by — i czynami by dowiódł, że ma słuszność. Przekonał by nas, że można zmniejszyć nędzę, mas, głodowanie i zdziczenie z głodu, jeśli tylko serca ludzkie zechcą być czynniejsze. Nie pojąłby, jak to się dziać może, że śmiercią z nędzy giną jedni, gdy tylu jednak obok wykazuje się nadmiarem chleba powszedniego. Być może przypomniał by wierzącym, że w pacierzu swoim codziennym mówią: „chleba **naszego**", nie zaś „chleba **mojego**" powszedniego daj nam Panie!

A. Grzymała-Siedlecki

*) Obszerniejsze rozważania o tej stronie działalności Skargi znajdzie czytelnik w rozprawie ks. J. Szkudelskiego: „Duszpasterstwo społeczne według księdza Piotra Skargi" („Ateneum Kapłańskie", maj 1936 r.).

W bezwiednem odczuciu Polaków — ze Skargi i Kordeckiego bije jeden duch.

Gdyby jakiegokolwiek inteligenta u nas zaskoczyć pytaniem: — **W której części Trylogii występuje Skarga?** — odpowiedziałby odruchowo: — w **Potopie!** — I dopiero w sekundę później dodałby, zebrawszy myśli: — Co ja mówię... Myślałem oczywiście o Kordeckim!

Dlatego wydało się naszej redakcji godziwem zamknąć rok 1936-ty, rok czterechsetlecia urodzin Skargi i dwudziestolecia śmierci Sienkiewicza, życiorysem wielkiego kapłana, nakreślonym przez znakomitego pisarza, krzewiącego **dzisiaj** tego samego co i tamci ducha.

A przejęci troską, że bliska przyszłość zaskoczyć może naszą Ojczyznę wojną przy rozdarciu wewnętrznem, pragniemy ostrzec rodaków i zarazem pokrzepić przypomnieniem Pasterki w oblężonej przez wrogów Częstochowie, w której cała młodzież polska stanęła również załogą przez tegoroczne ślubowanie wierności Królowej Korony Polskiej.

Podbipięta.

...Wieść gruchnęła po obozie szwedzkim i sprzymierzonym polskim, że kopacze znaleźli przechód podziemny, idący pod sam kościół i klasztor i że tylko od dobrej woli jenerała zależy wysadzić całą twierdzę w powietrze. Radość niezmierna ogarnęła znużonych mrozami, głodem i bezowocną pracą żołnierzy.

Okrzyki: — Mamy Częstochowę! Wysadzimy ten kurnik! — przebiegały z ust do ust...

Echa tej radości doszły na koniec i do twierdzy. Wiadomość o minach już założonych i gotowych do wybuchu rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlękli się... Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników... Z nimi razem poszła większość żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętym kołem, tak mówić począł:

— Zali nie przysięgliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę, powiadam wam, jeżeli prochy nas wyrzucą, to tylko liche ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną z powrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą...

Niebo otworzy się nad nimi i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nich, a one jako pszczoły złote siędą na Jej płaszczu...

Panie, który światami rządzisz, Ty który patrzysz w serce moje i wiesz, że nie kłamię temu ludowi, mówiąc, iż gdybym własnej szczęśliwości tylko pragnął, tedy bym ręce wyciągnął ku Tobie i wołał z głębi duszy mojej: „Panie! spraw, aby te prochy były, aby wybuchły, bo w takiej śmierci jest odkupienie win i grzechów, bo jest odpoczynek wieczny, a sługa Twój znużon i spracowan już bardzo"... I któżby nie chciał takiej nagrody za śmierć bez męki, jako mgnienie oka krótką, jako błyskawica na niebie przemijającą, po której wieczność niezmienna, szczęście nieprzebrane, radość bez końca.

Lecz Ty mi kazałeś strzec przybytku swego, więc mi odejść nie wolno: Tyś mię na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją i wiem to, Panie, i widzę i czuję, że choćby złość nieprzyjacielska aż pod ów kościół dotarła, choćby wszystkie prochy i niszczące saletry pod nim złożono, dość by mi było je przeżegnać, ażeby nie wybuchły...

. . . .

Przyszedł wreszcie wieczór wigilijny. O pierwszej gwieździe zamigotały światła i światełka w całej fortecy... Przy stołach okrytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła na wszystkich twarzach, bo każdy miał przeczucie, pewność prawie, że czasy niedoli miną już rychło.

. . . .

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wyniosłości tony organów, potem głosy ludzkie dołączyły się do nich, potem dźwięki dzwonów i dzwonków...

Żołnierze polscy spod komendy Zbrożka i Kalińskiego, nie pytając o pozwolenie, podeszli pod same mury. Nie puszczono ich do środka w obawie jakowej zasadzki, którą noc mogła ułatwić, lecz pozwolono stać blisko przy murach. Oni też zebrali się całą gromadą. Jedni poklękali na śniegu, inni kiwali żałośnie głowami, wzdychając nad własną dolą, albo bili się w piersi, ślubując sobie poprawę... Tymczasem strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele, chcąc sobie ową stratę wynagrodzić, poczęli także śpiewać i wkrótce rozległa się po całym okręgu murów kolęda:

W żłobie leży, któż pobieży

Kolędować małemu...

Nazajutrz po południu huk dział zgłuszył na nowo wszystkie inne odgłosy....

HENRYK SIENKIEWICZ („Potop").

H. G. WELLS

CZARODZIEJSKI SKLEP

Już dawniej parę razy przechodziłem obok sklepu magicznego. Wpadły mi wtenczas w oko zabawki na wystawie: gałki magiczne, zaczarowane kury, cudowne stożki, lalki mówiące, talie kart, niby zwyczajne, i całe komplety przyborów, potrzebnych dla magika. Nie śniło mi się wejść do sklepu, aż pewnego razu Grześ pociągnął mnie za palec tuż ku samej szybie wystawowej. Nie mogłem już malcowi odmówić przyjemności, skoro staliśmy tuż przed sklepem. Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętałem, że sklep się akurat tu znajduje. Mieścił się na Regent Street, wciśnięty między skład przyborów malarskich i sztuczną wylęgarnię kurcząt. Lokowałem go gdzieś dalej przy Oxford Circums, czy może na Oxford Street — albo nawet przy ulicy Holborn. Coś było w nim nieuchwytnego, jak w mirażu, lecz tym razem nie umknął. Szyba wystawy pisnęła, kiedy Grześ posunął po niej palcem.

— Gdybym był bogaty, kupiłbym sobie to — tu wskazał tymże paluszkiem „Jajo znikające". — I to — ciągnął, pokazując „Dzieciątko, które płacze jak żywe". — I to — a było to pudełko tajemnicze, z napisem: „Kup — zadziwisz przyjaciół".

— Wszystko znika, jak nakryć takim stożkiem. Czytałem o tym w książce, objaśniał Grześ. — A tam, to jest „miedziak znikający", tylko tak go położyli, że nie widać, jak się to dzieje.

Kochany Grześ odziedziczył grzeczność po mamusi. Wcale mnie nie namawiał, żebyśmy weszli do sklepu. Ciągnął mnie tylko za palec, nie kryjąc zainteresowania.

— O, a tam flaszka magiczna...

— Chciałbyś ją mieć? — zagadnąłem, a on rozpromienił się cały.

— Pokazałbym ją Dzidzi, rzekł, myśląc, jak zwykle, o drugich, nie o sobie.

— No, że to już niecałe trzy miesiące do twoich urodzin, to wejdźmy — oznajmiłem, i ująłem za klamkę.

Nie odpowiedział, tylko mocniej ścisnął mój palec — i oto znaleźliśmy się w sklepie.

Nie był to sklep zwyczajny, lecz sklep magiczny, Grześ zatem nie wysuwał się i zostawił mi inicjatywę w rozmowie.

Wnętrze było ciaśniutkie, wąskie, słabo oświetlone. Drzwi za nami przymknęły się z jękiem. Narazie byliśmy w sklepie sami i mieliśmy czas się rozejrzeć. Na szklanej ladzie stał tygrys z masy papierowej — patrzył na nas poważnie, poczciwie



i kiwał łbem regularnie. Obok lśniło kilka kul kryształowych. Porcelanowa ręka trzymała karty magiczne. Sporo było różnej wielkości magicznych bań z rybkami. Cały mechanizm sprężyn wyglądał ku nam bezwstydnie ze środka magicznego cylindra. Na podłodze stały magiczne zwierciadła: w jednym zobaczyliśmy się ciency i wydłużeni, w drugim rozszerzyły nam się głowy, a nogi znikły, w jeszcze innym cali zgrubieliśmy na płask, jak krążki warcabowe. Śmieliśmy się ze swych karykatur, gdy wszedł (pewnie, że wszedł) sprzedawca.

Bo ot, stał już za kontuarem. Osobnik to był dość szczególny. Cerę miał żółtawą, włosy czarne, jedno ucho znacznie większe od drugiego, i podbródek wystający, jak szpic buta.

— Co szanowny pan każe? — zapytał, rozkładając jak kuglarz palce na szklanym kontuarze i tym ruchem zwracając na siebie uwagę po raz pierwszy.

— Chciałbym parę zabawek, z tych prostszych.

— Ma to być magia domowa, czy do specjalnych przyrządów?

— Byle zabawna.

— Hm, zastanowił się osobnik i podrapał w głowę, — poczem najwyraźniej wyjął z niej szklaną kulę. — Może coś w tym rodzaju? — zapytał, podając gałkę.

Trochę mię, przyznaję, zaskoczył. Oczywiście mnóstwo razy widziałem już tę sztukę, jedną z tych, które weszły do żelaznego repertuaru kuglarzy — ale narazie byłem na nią nieprzygotowany. — Dobre, dobre, przyświadczyłem chichocząc.

— Prawda, że dobre? — rzekł sprzedawca.

Grześ wolną już łapką sięgnął po kulkę, ale nic w dłoni magika nie znalazł.

— Kulkę masz już w kieszeni, zapewnił kuglarz — i tak też było w samej rzeczy!

— To ile to kosztuje? — zapytałem.

— Szklane kulki dodajemy gratis, odparł kupiec najgrzeczniej. — My — tu jedną wydobył z łokcia — dostajemy ten towar darmo. — Wyjął sobie jeszcze jedną z karku, i położył na ladzie obok tamtej. Grześ zaś najpierw przypatrzył się roztropnie swojej kulce, potem przeniósł badawczy wzrok na dwie inne, wreszcie utkwił okrągłe gały w sprzedawcy, który na to odpowiedział uśmiechem.

— Możesz je sobie wziąć, a jeżeli chcesz, to i tę, którą wyjmę z ust. O, jest.

Grześ radził się mnie chwilę oczami, potem bez słowa odłożył dla siebie cztery kulki, i znów mnie uchwyciwszy za palec, czekał, co dalej będzie.

— Małe zabawki wszystkie tak dostajemy, rzekł kupiec.

— Zamiast się zwrócić do hurtowni, — odpłaciłem żartem za żart. — Pewnie, że tak jest taniej.

— Poniekąd... Zawsze jednak zapłacić trzeba. Lecz nie tak słono, jak ludzie sobie myślą... Większe przedmioty, żywność, i wszystko, czego potrzebujemy, dostajemy z tego cylindra. I muszę też, proszę szanownego pana, wyjaśnić, że nie ma hurtownego składu prawdziwych zabawek magicznych. Nie wiem, czy szanowny pan zanotował sobie naszą firmę — *Prawdziwy sklep magiczny.* — Uprzejmie wyjął z policzka i wręczył mi kartę reklamową. — Prawdziwy, powtórzył, stukając palcem w napis. O oszukaństwie, proszę szanownego pana, nie ma mowy.

Nie chciał widać wyjść z roli żartownisia.

— A z ciebie, wiesz, dobry chłopak — odezwał się z bardzo przyjaznym uśmiechem do Grzesia.

Skąd mu to na myśl przyszło? Był to sekret w rodzinie, o którym nawet w domu nie mówiliśmy głośno ze względów wychowawczych. Grześ jednak ani mrugnął.

— Bo tylko dobrzy chłopcy potrafią przejść przez te drzwi.

Jakby dla potwierdzenia tych słów usłyszeliśmy dobijanie się i natarczywe piski. — Ja chcę tu wejść. Tatusiu, ja chcę tu wejść — a potem głos ojcowski, bezradny, próbujący perswadować i pocieszyć. — Edziu, widzisz, przecież zamknięte...

— Ależ nie, odezwałem się.

— Zamknięte, proszę pana, zawsze zamknięte dla dzieci takich, jak ten ot chłopak — oświadczył sprzedający. I właśnie gdy tak mówił, wyjrzało do nas zza szyby białe nalane pysio tuczonego słodyczami pieszczocha. Grymas złych namiętności wykrzywiał już tę twarzyczkę bezwzględnego egoisty, drapiącego zaczarowaną szybę. — Nic szanowny pan nie pomoże, wtrącił kupiec, kiedy odruchowo posunąłem się ku drzwiom z życzliwą intencją. Złośnik tymczasem w ryk, aż ojciec odciągnął go siłą.

— No, a jak się to robi? — zapytałem, odetchnąwszy po wrażeniu.

— To też magia, — odparł sprzedawca, niedbale machnąwszy ręką, a z palców — cóż to znowu? — wyskoczyły mu kolorowe iskry, pofrunęły w ciemny kąt i znikły.

— Tam przed sklepem — zwrócił się do Grzesia — mówiłeś, że chciałbyś mieć to pudełko z napisem: „kup, a zadziwisz przyjaciół?"

Grześ, zawahawszy się szlachetnie, potaknął.

— Masz już to pudełko w kieszeni.

I przechyliwszy się nad ladą — a długi był niewiarogodnie — szczególny ten osobnik podał Grzesiowi pudełko pospolitym gestem kuglarza. — Teraz papier do zawinięcia — to mówiąc, wyjął arkusz z cylindra, — teraz sznurek — przy tych słowach z ust, niczem z kłębka zaczął ciągnąć długą, niekończącą się nić szpagatu, którą wreszcie, po zawinięciu pakunku, odgryzł, przy czym miałem wrażenie, że cały kłębek połknął. Potem zapalił świeczkę o nos mówiącej lali, wetknął do ognia palec, który tymczasem zmienił się był w laseczkę czerwonego laku, i zapieczętował paczuszkę.

— Chciałeś też „znikającego jaja", przypomniał, wyjął jajo z kieszeni mojej marynarki przy klapie, i też je zapakował, a potem jeszcze także „dzieciątko, które płacze jak żywe". Po kolei podawałem paczki Grzesiowi, a on przyciskał je do piersi.

Nie mówił nic, dość wyraźnie mówiły za niego oczy i wymowny był uścisk, którym przytulał zabawki. Grały w nim oto uczucia, na które nie ma słów. Bo pomyśleć: prawdziwe magiczne zabawki!

W tym momencie poczułem, że coś miękkiego skacze mi pod kapeluszem. Wyrzuciłem to coś — i wypadł na szklaną ladę gołąb z nastroszonymi piórami — bezwątpienia w jakiś sposób przygotowany zawczasu. Wypadł, pobiegł po kontuarze i zniknął, — jak mi się zdawało, w tekturowym pudle stojącym za tygrysem z papieru.

— No, no — odezwał się magik, zręcznie uwalniając mnie od nakrycia głowy — gdzież to się ten nieporządny gołąb usadowił — ba, zagnieździł!

Bo rzeczywiście, kiedy potrząsnął kapeluszem, wpadły mu w nadstawioną dłoń trzy jaja, gałka do gry, zegarek i jakie pół tuzina szklanych kulek, widać nieuniknionych w tym sklepie. Potem zaczął z kapelusza wydobywać masę pogniecionego papieru, więcej, coraz więcej, wciąż więcej. Sentencjonalnie zaznaczył przy tym, że nie wystarcza oczyścić kpelusz tylko z zewnątrz. Mówił to bardzo grzecznie, ale odczułem w tym pewien przytyk osobisty. — Bo nagromadza się tych rzeczy taka masa... Oczywiście nie mam na myśli szanownego pana... Ale to prawie wszyscy jednakowi... To nadzwyczajne, ile tego... Góra zgniecionego papieru piętrzyła się, rozrastała wszerz i wzwyż, aż prawie nie było widać kupca, aż wreszcie zasłoniła go zupełnie, i tylko głos słyszeliśmy..., Z zewnątrz absolutnie osądzić nie można, co się w środku nas kryje. Czyśmy zatem tylko maski układne, tylko groby pobielane...

Głos urwał nagle, tak nagle, jak gramofon, w który ktoś walnie cegłą. W jednej chwili potok słów ustał, papier przestał szeleścić, i zrobiło się zupełnie cicho.

— A co pan zrobił z kapeluszem? — zapytałem po chwili.

Milczenie.

Popatrzyłem na Grzesia, Grześ popatrzył na mnie, a w zwierciadłach magicznych patrzyły ku nam nasze odbicia, uroczyste w swej śmieszności, nieruchome...

— Wychodzimy już, oznajmiłem. — Niech pan powie, ile to razem ma kosztować.

— Słyszy pan? — powtórzyłem głośniej. — Niech mi pan da rachunek, i zwróci kapelusz.

Coś jakby czmychnięcie nosem doleciało zza stosu papierzysk.

— Zajrzyj no za kontuar — powiedziałem do Grzesia. — On żarty sobie z nas stroi.

Przeprowadziłem Grzesia obok kiwającego łbem tygrysa — i — czy dacie wiarę? — nie było za ladą nikogo. Nikogusieńko. Tylko leżał mój kapelusz na podłodze, a obok siedział biały królik, nieodzowny rekwizyt sztuk magicznych. Siedział zamyślony o czymś przygłupi, zmiętoszony, najprawdziwszy królik kuglarza. Podniosłem kapelusz, długouszek zaś uskoczył na stronę.

— Tatusiu, bąknął Grześ nieśmiało.

— Co takiego?

— Ten sklep mi się bardzo podoba.

— I mnie by się podobał, pomyślałem, — gdyby kontuar nie wydłużył się nagle i nie przysunął do drzwi, barykadując wyjście. — Ale nie powiedziałem o tym nic Grzesiowi, który tymczasem wyciągnął rączkę do królika. — Białasku, pokaż sztukę magiczną, prosił mile, a królik, odprowadzony oczami, wślizgnął się w szparę drzwi, których dotąd zupełnie nie zauważyłem w tym miejscu. — Niebawem uchyliły się one szerzej, i jegomość o jednym uchu większym znów pojawił się przed nami. Na twarzy miał resztki uśmiechu, ale w oczach — prócz rozbawienia — także jakiś wyraz wyzywający.

— Szanowny pan zechce teraz obejrzeć nasz magazyn — zaprosił tonem słodko-uprzejmym.

Grześ odrazu pociągnął mnie za palec.

Spojrzałem na kontuar, potem szczególnemu kupcowi w oczy. Jego magia wydawała mi się zaiste zbyt prawdziwa. — Nie mamy dużo czasu, oświadczyłem. Ale zanim skończyłem, ni stąd ni zowąd byliśmy już w magazynie.

— U nas na składzie wszystko w jednym gatunku, mówił magik, zacierając swe elastyczne dłonie. — Mianowicie w najlepszym. W najlepszym bez wyjątku. Wszystko prawdziwie magiczne, i naprawdę niesamowite. Oj, przepraszam szanownego pana!

Oderwał coś, co czepiało się rękawa mego palta. Spojrzałem: w ręce trzymał za ogon prężącego się czerwonego diablika. Potworek chciał gryźć, podrzucał ciałem, żeby dobrać się zębami do ręki, — ale magik cisnął go niedbale za kontuar. Diablik był gumowy oczywiście, co do mnie jednak, w pierwszej chwili, przyznaję... — Bo też i magik trzymał go zupełnie tak, jakby wierciło się jakieś złośliwe stworzenie. Czy Grześ widział je? — Nie, wpatrzony był w magicznego wierzchowca na biegunach. Dobrze, ach dobrze, że nie widział.

— Wszystko pięknie, odezwałem się półgębkiem, oczami tylko wskazując brzdąca i diablika — ale chyba zabawek w tym rodzaju nie macie dużo?

— Ależ to nie nasz potworek, zaprzeczył kupiec, również cicho. — Pan szanowny pewnie przyniósł go z sobą. To przechodzi pojęcie, co ludzie czasem przynoszą, choć sami o tym nie wiedzą. — Uśmiechnął się dziwnie jasno, potem odwrócił się do Grzesia i zagadnął:

— No, co ci się tutaj podoba?

Bardzo wiele zabawek wzbudziło zachwyt Grzesia. To też w pytaniu jego brzmiało i zaufanie i szacunek.

— Czy to jest miecz magiczny?

— Tak, to mieczyk magiczny do zabawy. Nie zgina się, nie łamie, i nie kaleczy palców. Gwarantuje zwycięstwo w spotkaniu z przeciwnikiem poniżej lat 18-tu. Cena od pół korony do siedmiu szylingów sześciu pensów. Większe są droższe. — A tu rynsztunek młodocianych błędnych rycerzy: tarcza bezpieczeństwa, sandały, chyżo niosące, i hełm, co czyni niewidzialnym...

— Tatuńciu — wykrztusił Grześ.

Chciałem wywiedzieć się o cenę, ale kupiec nie zwracał na mnie uwagi. Pozyskał serce Grzesia, odczepił go od mego palca, i ku mej złości oprowadzał po całym magazynie, papląc przy tym i papląc bez przerwy. O zgrozo! — wdzięczny bęben — spostrzegłem to wręcz z zadrością — trzymał już osobnika za palec, jak przedtem ojca. Osobnik wprawdzie był — ani słowa — ciekawy, i miał na składzie materiał pierwszorzędny, lecz z tym wszystkim...

Nie mówiłem już prawie nic, posuwałem się tylko krok w krok, pilnie obserwując kuglarza. Pocieszałem się, że przynajmniej Grześ bawi się dobrze. A kiedy czas będzie odejść przypuszczalnie oddalimy się bez przeszkód.

Magazyn był bardzo duży, w kształcie nieregularny. Mijaliśmy postumenty, wnęki, filary, wyloty korytarzy, prowadzących do innych działów, skąd gapili się na nas różni pokraczni subiekci, a jeszcze bardziej utrudniały orientację zasłony i zwierciadła. Utrudniały tak dalece, że wkrótce nie pamiętałem już, którędyśmy weszli.

Kuglarz pokazywał Grzesiowi magiczne kolejki, nie spirytusowe i nie nakręcane, kolejki, co same jeździły za nastawieniem sygnałów. Pokazywał cudowne wprost pudełka z żołnierzami, którzy stawali się żywi, jak tylko się zdjęło pokrywkę, i powiedziało... — Co do mnie, nie uchwyciłem, co trzeba było powiedzieć, słówko to trudne było do powtórzenia, ale Grześ po matce ma słuch dobry, więc zaraz je sobie przyswoił. — Brawo, powinszował mu magik, zgarniając bez ceremonii żołnierzy i podając ich Grzesiowi wraz z pudełkiem. — No, jeszcze raz! — i wnet jeszcze raz, na komendę malca, ożyli.

— Weźmie pan to pudełko? — spytał kupiec.

— Owszem, wezmę, tylko proszę policzyć niższą cenę, bo zwyczajną płacić mogą chyba milionerzy.

— Złotko, o tym nie mówmy, — przerwał kupiec. Zgarnął znowu żołnierzy, nałożył pokrywkę, zakręcił pudełeczkiem w powietrzu — i w mig paczka, zawinięta w szary papier, była gotowa — i to *z wypisanym imieniem, nazwiskiem i adresem Grzesia!*

Kupiec roześmiał się na widok mego zdumienia.

— Tak, to jest prawdziwa, autentyczna magia.

— Nawet zbyt prawdziwa na mój gust, odrzekłem.

A on dalej jął pokazywać Grzesiowi różne inne zabawki, zabawki coraz dziwniejsze. Tłumaczył ich konstrukcję, rozbierał je na części, a malec patrzył i słuchał z największą powagą.

Co do mnie, niebardzo już nawet uważałem. — — Raz, dwa, trzy! — wołał magik, i „raz, dwa, trzy" — powtarzał swoim czystym głosikiem chłopczyna. Lecz mnie coś innego zajmowało. Zacząłem sobie uświadamiać, jak dziwne jest całe to miejsce, jak przesycone dziwnością. Nawet sufit, nawet podłoga, nawet krzesła przypadkowo rozstawione, miały w sobie coś dziwnego. Czułem, że kiedy nie patrzę wprost, one pochylają się, poruszają i baraszkują za moimi plecami. Na gzymsie zaś był deseń z twarzy, co szczerzyły się o wiele za wyraziście, jak na twarze ze stiuku.

Potem znów uwagę moją zwrócił jeden z owych dziwacznych subiektów. Stał opodal, nie wiedząc, że patrzę na niego. Jakieś może trzy czwarte jego postaci widać było w arkadzie, poza stertą zabawek. Opierał się leniwie o filar i — jakby z nudów — używał części swej twarzy do okropnych figlów. Najokropniej zabawiał się nosem. Organ ten, zrazu krótki i pękaty, niespodziewanie wyciągnął się nakształt lunety, a potem zaczął się wydłużać, cienieć i cienieć, aż zamienił się w długi i zwinny bat czerwonego koloru. Coś takiego przyśnić by się mogło. Swawolniś śmigał nosem zygzakowato, albo zarzucał go daleko, jak wędkę.

Och, byle Grześ nie widział! Odwróciłem się: wszystko dobrze, malec gadał z kuglarzem, niczego nie podejrzewając. Knuli coś szeptem, i spoglądali przy tym na mnie. Grześ stał na mały stołeczku, kupiec trzymał w rękach ogromny bęben.

— Bawimy się w chowanego, zawołał Grześ. — Tatuś szuka!

I zanim zdążyłem zrobić krok, już magik nakrył malca bębnem.

Odrazu zrozumiałem, co się święci. — Zabierz



pan to! — krzyknąłem. — Podnieś pan zaraz ten bęben! Straszy mi pan tylko dziecko! Weź pan to zaraz! Już!

Właściciel nierównych uszu usłuchał mnie bez słowa, i podniósł bęben tak, żebym mógł zobaczyć, iż jest pusty. Na krzesełku też nie było nikogo. Chłopczyna mój gdzieś zniknął!

Znacie może to uczucie grozy, które niczem ręka znienacka wyciągnięta, chwyta za serce i ściska. Wiecie, jak tłamsi ono nasze zwykłe ja, i wytwarza stan czujnego napięcia, któremu obce są zarówno pośpiech i powolność, zarówno gniew i strach. W takim właśnie stanie się znalazłem.

Podszedłem do kuglarza i kopnąłem stołeczek, aż poleciał.

— Dosyć głupich żartów, krzyknąłem. — Gdzie jest chłopak?

— Widzi pan, odpowiedział, ukazując mi puste denko, że nie ma tu żadnego oszukaństwa...

Chciałem go chwycić, ale usunął się zręcznie. Znowu rzuciłem się, on zaś ustąpił i otworzył drzwi, gotując odwrót. — Stój! — wrzasnąłem, bo już ze śmiechem rejterował. Hop, — dałem susa za nim — w czarną czeluść! Trach!

Co to było?

— Przepraszam szanownego pana najmocniej! — ale nie zauważyłem!

Słowa te zwrócił do mnie przyzwoicie wyglądający robotnik, z którym zderzyłem się właśnie na Regent Street; a o krok dalej, trochę speszony, stał Grześ.

Po naszych przeproszeniach, chłopak podszedł do mnie rozjaśniony, jakby rad, że mnie odnajduje po chwili niepewności.

(Dokończenie na stronie 7-ej).

SPORT

Wymowne cyfry

O tak często, niestety, zapominanej prawdzie, że najlepsze wyniki związane są ściśle i zależne od ilości uprawiających sport i że rekordzistów uzyskuje się tylko z pomiędzy tysięcznych przeciętnych zawodników — najwyraźniej przekonać może porównanie olimpijskich zwycięstw reprezentacji niemieckiej z zestawieniem ilości czynnych sportowców, zrzeszonych w niemieckich związkach sportowych... i przeciwstawienie tych cyfr cyfrom polskim.

Mamy przed sobą zestawienie zawodników zrzeszonych jedynie w berlińskich związkach sportowych. Obejmuje więc ono część tylko niemieckich sportowców z 1195-ciu klubów berlińskich, za wyłączeniem przy tym ćwiczących w wojsku i w „Hitlerjugend". A jednak ta ułamkowa cyfra jest olbrzymią i przyjemniej jest nie porównywać jej z odpowiednią cyfrą już nie z Warszawy, a z całej Polski.

Uprawiających czynnie sport w Berlinie zawodników zgłoszonych do związków państwowych, jest więc 202 tysiące Niemek i Niemców. Na płeć „słabszą" przypada z tego jedna czwarta część, z 23.000 Niemkami, uprawiającymi sportową gimnastykę, 4,200 tenisistkami i 2100 wioślarkami. Lekkoatletykę kobiecą uprawia zaś czynnie w samym tylko Berlinie 8200 kobiet, — cyfra w porównaniu z lekkoatletkami polskimi wprost przytłaczająca. Mimo bowiem posiadania kilku znakomitych lekkoatletek i osiąganych przez nie na Olimpiadzie zwycięstw, lekkoatletyka kobieca stoi w Polsce bodajże na najniższym poziomie ilościowym, i w największych nawet klubach czynne zawodniczki policzyć można niemal na palcach.

Ciekawym jest, że w ogólnej liczbie 202 tysięcy zawodników berlińskich, największe cyfry przypadają na dwie mało efektowne i u nas prawie że nieuznawane gałęzie sportu, — odpowiadające zato więcej usposobieniu niemieckiemu, to jest na gimnastykę i turystykę. Gimnastyków i gimnastyczek zrzeszonych jest mianowicie w 291 klubach berlińskich około 50.000 (!). Uprawiają oni przeważnie tak odpowiadające charakterowi niemieckiemu wspólne masowe ćwiczenia. Z pośród nich ogromna ilość 15-tu tysięcy — to chłopcy i dziewczęta poniżej 14 lat, najlepszy materiał na przyszłych mistrzów we wszystkich gałęziach sportu. A dalej w 87-miu klubach i towarzystwach turystycznych zrzeszonych jest 27 tysięcy Berlińczyków, uprawiających turystykę. Nie trzeba ich jednak mieszać bynajmniej z sobotnimi wycieczkami", wybierającymi się koleją lub samochodem co tydzień poza miasto. Takim bowiem „sportowcem" jest niemal co drugi Niemiec, i do takiej turystyki nie trzeba zupełne zrzeszać się w klubach sportowych. Na tych 27 tysięcy zrzeszonych turystów obojga płci składają się więc rozpowszechnieni ogromnie w całych Niemczech „turyści-piechurzy", wędrujący o każdym czasie z plecakiem na ramieniu dziesiątkami kilometrów w poszukiwaniu wrażeń sportowych i znajomości rodzinnego kraju i dokonywujący dużych naprawdę wysiłków fizycznych. Nie można ich więc porównywać z zwykłymi „wycieczkowiczami", których przecież i w Polsce jest tysiące.

Królowa sportów lekkoatletycznych posiada w samym tylko Berlinie 25 tysięcy czynnych! zawodników, zrzeszonych w 244 klubach. Z pomiędzy takiej ilości ćwiczących nie trudno o mistrzowskie wyniki, nie może więc nikogo dziwić, że na bieżniach czy skoczniach niemieckich osiąga się tak wysokie przeciętne wyniki, że np. na 100 mtr. Niemcy posiadają kilkudziesięciu zawodników, zdolnych do uzyskania czasu poniżej 11 sekund.

Najpopularniejszy w szerokich masach sport, jakim jest piłka nożna, nieznacznie tylko ustępuje lekkoatletyce z 22 tysiącami zrzeszonych zawodników. Z takiej cyfry uprawiających footbal w 231 klubach berlińskich, nie ma chyba kłopotu z wystawieniem chociażby 10-ciu dobrych reprezentacyj. Niewiele mniej rozpowszechniona jest piłka ręczna z 258 klubami i 15000 zawodnikami (w tym 3300 kobiet).

Na licznych rzekach, kanałach i jeziorach okalających Berlin, uprawia sporty wodne 11 tysięcy wioślarzy i po 6 tysięcy kajakowców i żeglarzy. Razem daje to imponującą cyfrę 23 tysięcy Berlińczyków, uprawiających sporty wodne. Sportem strzeleckim zajmuje się 10 tysięcy czynnych zawodników, — na niezliczonych kortach berlińskich uprawia biały sport „tylko" 9 tysięcy zgłoszonych tenisistów (4800 mężczyzn i 4200 kobiet). A związek Polski chwalił się na ostatnim swym walnym zebraniu powiększeniem się liczby zgłoszonych w całej Polsce tenisistów do ilości 2878!

Mniejsze cyfry przedstawiają czynni hockeiści i kolarze, a mianowicie: po 4 tysiące zgromadzonych zawodników. Nie podana jest ilość czynnych bokserów, przypuszczać jednak należy, że w samym Berlinie powinno ich ćwiczyć conajmniej kilka tysięcy.

Ciekawe jest również porównanie wieku poszczególnych zawodników. Okazuje się tutaj, że przeciętnie około 60 proc. z nich osiągnęło już pełnoletność, — reszta to zawodnicy młodzi i początkujący, nie brak wśród nich i najmłodszych. A nie trzeba zapominać, że i w obejmującej obecnie całą młodzież Niemiec organizacji „Hitler Jugend" wychowaniu fizycznemu poświęca się bardzo dużą wagę, podobnie jak i w wojsku, oraz w takich organizacjach naprawdę masowych, jak:, „Arbeitsdiensty" (Obozy Pracy) oraz „Kraft durch Freude" (Siła przez Radość).

Cyfry te więc i ogromne postępy dokonywane przez zachodnich naszych sąsiadów w podniesieniu poziomu fizycznego Niemiec, — winny pobudzić nas do jak największych zgodnych wysiłków dla rozpowszechnienia odpowiednio pojętego sportu wśród polskich mas.

W.

Co jest i co będzie

REPERTUAR

TEATR

TEATR WIELKI (Opera): wtorek, 22. 12. „**Manon**", wyst. gośc. artystów paryskiej Opera Comique: Yvette Thomas i Max Moutia. Środa 23.: „**Carmen**", ostatni występ gośc. artystów paryskiej Opera Comique: Helene Sadowen i Charles Friant. Piątek, 25 o godz. 8 wiecz. „**Halka**", wyst. gośc. F. Platówny.

NARODOWY: „**Cyganeria Warszawska**".

NOWY: „**Judyta**".

LETNI: „**Żołnierz królowej Madagaskaru**".

TEATR POLSKI: wtorek 22. „**Klub Pickwicka**", środa 23 „**Sułkowski**", piątek25 „**Klub Pickwicka**".

TEATR MAŁY: Codziennie „**Lato w Nohant**". Po południu w drugi dzień świąt „**Zwycięska płeć**".

TEATR MALICKIEJ: Codziennie „**Profesja Pani Warren**". W drugi dzień świąt popołudniu „**Trafika pani generałowej**".

TEATR KAMERALNY: Codziennie „**Wróble gniazdo**" w reż. Adwentowicza.

TEATR ATENEUM: Dziś „**Woźny i minister**" z Jaraczem.

TEATR DLA DZIECI (ORTYMA): (Kredytowa 14): W niedzielę o 12 w poł. i o 4 pop. podwójny świąteczny program: „**Cudowna Szopka**" i „**Skarb wróżki**".

CYRULIK WARSZAWSKI (Kredytowa 14). Dziś o godz. 7.15 i 9.45 komedia „**Król z parasolem**" z K. Junoszą Stępowskim.

OPERETKA (Karowa 18): Dziś o g. 8 w. „**Zakochana królowa**".

TEATR „8.15" (Śniadeckich 5): Dziś o g. 8 w. „**Gaby**".

13 RZĘDÓW: Dziś i codziennie satyra polityczna „**Duby smalone**" z Andrzejewską i Krukowskim na czele. Pocz. 7.15 i 9.45 wiecz.

KINA

ADRIA (Wierzbowa 7): „**Grzesznik mimowoli**".

ATLANTIC (Chmielna 33): „**Moja gwiazdeczka**".

CAPITOL (Marszałkowska 125): „**30 karatów szczęścia**".

CASINO (Nowy Świat 50): „**Barbara Radziwiłłówna**".

COLOSSEUM (Nowy Świat 19): „**Zemsta Johna Elimana**".

EUROPA (N. Świat 63). **San Francisco.**

FILHARMONIA (Jasna 5): „**Młody hrabia**".

HOLLYWOOD (Hoża róg Marszałkowskiej): „**Świecznik królewski**" i rewia.

MAJESTIC (Nowy Świat 43): „**Król kobiet**".

MIEJSKI (Hipoteczna 8): **(Rose Marie"**

PAN (N. Świat 40): „**Papa się żeni**".

RIALTO (Jasna 3): „**Tylko raz kochała**".

ROMA (Nowogrodzka 49): „**Biały anioł**".

SOKÓŁ (Marszałk. 69): **Dżentelmen kocha inaczej" i „Pieśń wiosny"**.

Sfinks (Senatorska 29): **Skowronek"**.

STUDIO (Chmielna 7): „**Furia**".

STYLOWY (Marszałkowska 112) — „**Rok 2000**".

ŚWIATOWID (Marszałkowska 111): „**Szczepko i Tońko**".

UCIECHA (Złota 72): „**Król kobiet**".

Sprawy językowe

O kolędach

O czymże tu pisać w czasie świątecznym, jak nie o **k o l ę d a c h**? Nazwa ta, uchu polskiemu tak miła, tak zda się swojska, rodzima, staropolska, ba! prasłowiańska (porównaj ruskie: „kolada") pochodzi jednak od łacińskiego „calendae", którym to wyrazem starożytni Rzymianie oznaczali pierwszy dzień każdego miesiąca. Grecy tej nazwy nie znali, stąd też utarł się zwrot: „ad calendas graecas", co odpowiada polskiemu: „na święty Nigdy", lub bardziej dosadnie: „jak rak świśnie!"

Dobrze jest, że co rok w okresie Godów wyjmujemy ze skrzyni pamiątek te bezcenne klejnoty rodzinne uczucia i szczerej poezji, jakimi są nasze kolędy! A wśród tych skarbów, jak największy brylant czystej wody, błyszczy przepiękna, karmazynowa, polonezowa kolęda: „Bóg się rodzi"!

Przyjrzyjmy się tym wspaniałym antytezom, na których bezimienny poeta zbudował pierwszą strofę. Oto: Bóg — się rodzi; moc — truchleje; Pan niebiosów — obnażony; ogień — krzepnie; blask — ciemnieje; ma granice — Nieskończony!

Zaiste, trudno lepiej uzmysłowić tajemnicę Wcielenia! Głębia treści doskonale tu się zespoliła z wysoce artystyczną formą.

Starajmyż się, śpiewając tę przecudną kolędę, nie tylko wmyślać się w znaczenie jej słów, ale także nic nie uronić z jej staroświeckiego wdzięku. A jakże, niestety, to robimy!

Oto śpiewając zwrotkę:

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą!

zaniedbajmy wymówić w wyrazie: „Dziécię" „é" pochylone, wymówmy tu pospolite, współczesne „e" otwarte, a wnet wraz z rymem pryska czar poezji, w nieziemską muzykę wkrada się dysonans, z trzaskiem wali się Arka Przymierza między dawnymi a młodszymi laty i oto znów, zamiast dostojnego poloneza Aniołów ku czci Boskiego Dzieciątka, słyszymy beczenie ochrypłych głosów, wódką przy Wilii dobrze zakropionych!

Zapewne, są ludzie gruboskórni, których takie zlekceważenie rymu nic nie ważą — ale nie zwracam się przecież do wzruszy, którzy go nawet zgoła nie zauważą, ale do miłych, kochanych, wytwornych, wrażliwych i subtelnych Czytelników „Podbipięty", którym przy tej okazji składam serdeczne życzenia „Wesołych Świąt".

ARTUR CHOJECKI.

Chropowatości

PAX HOMINIBUS...

Boże Narodzenie, to najpiękniejsze święto radości i wesela i pojednania. Dajemy sobie upominki, zapalamy świeczki na drzewku i śpiewamy, wzruszeni: „Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli..."

Nie czas więc na chropowatości, na wytykanie bliźniemu jego wad, przywar i śmiesznostek, na wzajemne pretensje i „potępieńcze swary". Wyobraźmy więc sobie, że staliśmy się potrosze jako te anioleczki, uczepione do srebrnych gwiazdek z szychu: Dobrotliwie mrugamy oczkiem, gdy nam ktoś w tramwaju nastąpi na odcisk, nie mówimy: „Czemu się pani tak rozpycha łokciami?" albo: „Miał słuszność ten, który powiedział, że liczba mnoga od c z ł o w i e k a jest b y d ł o..."

Nie potrącamy się też na ulicy parasolami, nie klniemy głośno, że nam paczka upadła. Pogodnie, rozsądnie, bez pośpiechu robimy przedświąteczne sprawunki. Matrony za ladą z uśmiechem życzliwym odkładają robótkę, aby nam wydać resztę. Panny sklepowe z anielską cierpliwością rozkładają przed nami setki przedmiotów ,dziękując z wylaniem, żeśmy kazali odciąć pół metra wstążki i zapakować ją razem z elektrycznym żelazkiem, kupionym w innej firmie.

Wszyscy sobie mówią: „Dzień dobry!" „Dowidzenia" — „Polecamy się łaskawej pamięci". Zarówno ci, którzy nabyli konia na biegunach, jak ci, co unoszą pięćdziesięciogroszową laleczkę z celuloidu — żegnani są czule i serdecznie życzeniami „Wesołych Świąt!"

W księgarniach — o cudzie! — natłok. Publiczność rzuca się na książki, jakby to była talia kart, lub ciastka z Ziemiańskiej! Ekspedienci z dumą demonstrują nowości, napisane przez polskich autorów dla polskich dzieci, wydane w polskich, a nie w żydowskich firmach... Wprost nie wiemy, co wybrać i nie mamy kłopotu z przypominaniem sobie, czy autor „Mośków, Josków i Sruli" nazywa się Korczak, czy Goldsznyt Nie Hemar też uczy najmłodszych aryjczyków polskiej mowy — mamy już rodzime talenty.

Słowem — wszystko jest tak, jak być powinno. Wszystko na swoim miejscu. W spokoju. W zgodzie. Brat bratu nie wykłuwa oczu „endecją" i „sanacją". Rozróżniamy tylko autochtonów — i cudzoziemców. Jesteśmy braćmi i jesteśmy u s i e b i e.

Po wilii, przy choince, śpiewamy chórem: „Et in terra pax hominibus bonae voluntatis..."

Sowa

Jeszcze książki pod choinkę

RÓJ:

J. Meissner: „**L — 59**".
J. Marlicz: „**Hotel na wodzie.**
J. Sas: **Cienie nad kołyską.**
J. Kędziora: **Marcyna.**
Ju Surynowa - Wyczółkowska: **Kobieta i basta!**

ŚW. WOJCIECH:

Z. Kossak: **Bursztyny.**
H. Zakrzewska: **Płomień na śniegu** (wyd. II).

GEBETHNER:

K. Makuszyński: **Złamany miecz.**
Z. Nowakowski: **Wytatułowane serca.**

ARCT:

J. Marcin: **Śpiąca królewna.**
M. Buyno-Arctowa: **Dziecko morza.**

TOW. WYDAWNICZE: (J. Mortkowicz).

Hanna Mortkowicz: **W Palestynie.**

WYDAWN. WSPÓŁCZESNE:

Z. Miszewska: **Pierwsza droga (Czerwony dom).**

Do wymienionych w poprzednim numerze wydawnictw dla młodzieży przybyło kilka książek, o których z braku czasu i miejsca możemy jedynie krótko wspomnieć. Zawsze lubiona przez dzieci M. Buyno - Arctowa napisała powieść półfantastyczną, mającą za tło morze polskie (k. Jastrzębiej Góry) p. t. „Dziecko morza" (księg. Arcta). Miła powiastka o Michasiu — znajdzie **Płomień na śniegu** — Zakrzewskiej. **(Św. Wojciech)** doczekała się drugiego wydania. Historia z dawnych już czasów „wojennych" wzruszy serduszka czytelników.

Niewątpliwie jednak na czoło wybija się trójca wybornych pisarzy, którzy hojnie tego roku obdarowali dzieci polskie: Utwory **Z. Kossak** („**Bursztyny**" — św. Wojciech) i **Zygm. Nowakowskiego** („**Wytatuowane serca**" — Gebethner) przeznaczone były w lwiej części dla wypisów szkolnych. Zofia Kossak nanizała swoje „Bursztyny" na tysiącletnią nić naszej historii. Nowakowski trzyma się raczej nowszych czasów, nawet najnowszych, bo jest w zbiorku i opowiadanie o Sowińcu. Jednakże te utwory, które powstały nie na zamówienie Książnicy Atlas i zakł. Ossolińskich — tchną największą bezpośredniością i napisane są z rozmachem wybornego felietonisty. Obie książki interesują, brzmi w nich tęga polszczyzna, z każdej kartki wyziera talent i znajomość tematu.

K. Makuszyński, ofiarowawszy dziewczynkom „**Awanturę o Basię**", pożałował snać chłopców i dał im do ręki „**Złamany miecz**", zdolny rozbroić najzawziętszego i najsuchszego krytyka. W korowodzie przygód rozsmakują się wszyscy. Makuszyński, — możnaby rzec, dokonał epokowego wynalazku: przeszczepił młodość w swych dawnych bohaterów. W „mieczu złamanym" odnajdziemy wiele znajomych figur z bujnej twórczości tego świetnego humorysty. Adaś Gilewicz, bohaterski odkrywca miecza, lub jego serdeczny przyjaciel, Kropka, mają rysy niektóre swych poprzedników z literatury dla „dorosłych" (Chrząszcz), ale mają po lat 16 i nie potrzebują tego stwierdzać dowodem osobistym.

Makuszyński zaczął pisać dla dzieci, co nie znaczy, by go przestali czytać dorośli. Ktoś mi niedawno opowiedział taką rozmowę: — „Czy podoba ci się ta nowa powieść, którą dostałeś ode mnie?". — Podobałaby mi się napewno, — mówi Irenka — tylko dziadzio ją zabrał i już trzeci dzień czyta"...

S.....a

Niósł przy tym cztery paczki!

Zaraz też uchwycił za mój palec.

Doprawdy nie wiedziałem, co myśleć. Obejrzałem się, aliści po magicznym sklepie ani śladu! Ani wejścia, ani wystawy, nic! Zwyczajny mur oddzielał sklep z malarskimi przyborami od wylęgarni kurcząt...

Cóż mogłem zrobić wobec tego? Po prostu parasolem dałem sygnał dorożkarzowi, żeby stanął.

— Dorożka! Doskonale! — rozpromienił się Grześ.

Pomogłem mu wsiąść, przypomniałem sobie z trudem własny adres, i pojechaliśmy. Coś rozpychało mi kieszeń palta. Kula szklana! Zniechęcony rzuciłem ją na jezdnię.

Grześ nie odzywał się.

Milczeliśmy obaj czas jakiś.

— Tatuńciu, powiedział wreszcie Grześ, — ach, jaki to był sklep.

Dla niego więc tak się ta cała rzecz przedstawiała. Chwała Bogu, że włos mu z głowy nie spadł. Chłopak nie był ani wystraszony, ani nie swój, — poprostu setnie uradowany z całej laby, no i z paczek, które jak łup uwoził.

Dobrze, ale co było w tych paczkach?

— Do takich sklepów nie można chodzić często — ostrzegłem.

Przyjął to ze zwykłym swoim stoicyzmem, aż mi się żal zrobiło, że w tej chwili nie jestem jego mamusią i nie mogę go ucałować raz dwa, w dorożce. I sklep wydał mi się nie taki nieprzyjemny.

Ale w pełni odzyskałem spokój dopiero, gdy otwarliśmy paczki. W trzech byli ołowiani żołnierze, najzwyczajniejsi w świecie, za to, w wybornym gatunku. Z radości Grześ zapomniał na amen, że przedtem były to zabawki magiczne. A w czwartej paczce był kotek, biała kicia, puszysta i bieluchna, w dobrym zdrowiu, z apetytem i humorem znakomitym.

Poczułem ulgę, i długi czas przesiedziałem w pokoju syna.

Zaszło to sześć miesięcy temu. Teraz już prawie nie mam obaw. Kiciuś jest taksamo magiczny, jak wszystkie inne kotki, a żołnierze stoją twardo, niczem najlepiej wymusztrowane wojsko. Ale co myśli Grześ?

Inteligentni rodzice zrozumieją, jak ostrożnie muszą poczynać sobie w tej sprawie.

Pewnego dnia odważyłem się jednak na mały wywiad. Zapytałem bębna: — Słuchaj, Grześ, czy chciałbyś, żeby twoi żołnierze ożyli i maszerowali sami?

— Właśnie tak robią, odparł Grześ. — Byle powiedzieć hasło przed podniesieniem pokrywki.

— To wtedy sami maszerują?

— Naturalnie, Tatusiu. Inaczej cóż by byli warci?

Nie okazałem zdziwienia, parę razy zato zajrzałem potem znienacka do pokoju, aby sprawdzić, jak żołnierze się sprawują. Nic zaiste w zachowaniu ich nie dostrzegłem magicznego.

Ostatecznie trudno tu rozstrzygnąć.

Pozostaje kwestia rachunku. Lubię płacić swoje rachunki. Szukałem tego sklepu na Regent Street kilka razy. Chyba więc jestem w porządku. Zresztą znają tam przecież adres Grzesia, więc jak zechcą, upomną się sami.

Z angielskiego przełożył W. J. C.

Motoryzacja

Polacy kochają się w koniach. Wiadomo:

Czym chata bogata, tym rada.

Polska tym różni się od Abisynii, że tam jeździ się na mułach, a u nas dorożkami. Jest jeszcze jedna różnica pomiędzy Abisynią a Polską:

W Abisynii motoryzacja wypiera muły... a u nas muły wypierają... motoryzację...

Chciałem niedawno pojechać taksówką...

Udałem się w poszukiwaniu najbliższego postoju... Po kwadransie udało mi się trafić na jakiś zaspany róg ulicy, gdzie drzemały aż trzy taksówki w stanie zupełnego rozkładu jazdy.

Wsiadłem do pierwszej maszyny.

— Dawno pan tu stoi? — spytałem szofera, który sprawiał nieprzytomne wrażenie.

— Od dwóch tygodni.

— A ten za panem?

— On niedawno tu przyjechał. W zeszły piątek...

— A ten trzeci?

— Tamten jest nietutejszy. Dopiero dwa dni stoi na tym postoju...

— Dlaczego pan nie zapuszcza motoru?

— Zepsuty...

— No to dlaczego pan nie zreperuje?

— Maszyna za stara... Nie da rady... Zresztą już i tak za dwa tygodnie wszystkie warszawskie taksówki porozsypują się po ulicach.

— W takim razie, czemu pan tu stoi — zapytałem, kierując się do drugiego auta. — Niech pan do domu jedzie...

— Z czego będę żył?!

— A pański wóz jest czynny — zapytałem następnego szofera;..

— Nie. Także zepsuty...

— To dlaczego pan tu stoi?

— Bo ja pilnuję tego, co stoi przede mną... On mi jest winien złotówkę...

— A ta trzecia taksówka jest czynna?

— Czynna, ale szofera nie ma. Znudziło mu się czekać, wynajął dorożkę, włożył liberię i gości wozi po mieście.

Smutny odszedłem do najbliższego przystanku tramwajowego. Zacząłem rozmyślać o naszej motoryzacji.

Owszem, jest dużo nowych wozów, ale wszystkie niestety są najwyżej dwukonne...

A drogi?

Drożej kosztują nas przecież nasze bezdroża, niżby kosztowały najpiękniejsze drogi... Skasowałbym naprzykład „Drogę", a na jej miejsce wybudowałbym piękną autostradę...

A drogi inwestycyjne?

Te powinny być drogie naszym sercom.

Niestety. są naszym sercom... najdroższe...

Przysłowie, że „Czym chata bogata tym rada", można zastosować do motoryzacji tylko po pewnym retuszu: Czym w „Fiata" bogata, tym rada...

848-85

III konkurs Podbipięty

Rozwiązanie trzeciego konkursu „Pod-

„CZYJE RĘCE?"

zmuszeni jesteśmy, ze względów technicznych, odłożyć do numeru noworocznego, w którym Czytelnicy znajdą też nowy, oryginalny konkurs „Świąteczny".

FRASZKI

NA PRZYSŁOWIA I NA JEDNO PISMO

Po przeróbkach tylu i po tylu zmianach,
przysłowia polskie rumienią się ze wstydu.
Teraz zamiast: szukaj szpilki w kopie siana,
trzeba mówić: szukaj Szpilek w kupie Żydów.

JAD.

Od Administracji

Prosimy naszych Sz. Prenumeratorów o łaskawe wpłacanie prenumeraty za miesiąc styczeń 1937 r.

Prosimy również o zawiadamianie nas o wszelkich niedokładnościach i opóźnieniach w doręczaniu „Podbipięty" przez pocztę.

Przez moje okienko

Wigilja w rodzinie

Z pojawieniem się pierwszej gwiazdki na naramiennikach grupy pułkowników, można już było zajmować miejsca przy stole.

— Do...siadania! — rozległa się krótka, wojskowa komenda i wszyscy ruszyli ławą jeden przez drugiego, starając się możliwie najszybciej wystartować. Miejsca wprawdzie były już z góry wyznaczone, kto jednak miał silne plecy i łokcie, starał się zepchnąć co słabszych na szary koniec i zająć samemu jakieś stanowisko bliżej „głównego ołtarza".

Stawiła się cała prawie rodzinka w komplecie. Stanęli karnie przy żłobku wigilijnym, aby raz jeszcze zadokumentować jedność i spoistość w momencie, gdy chodzi o wyższe cele.

Łamania się opłatkiem zaniechano, gdyż nieprzyjemna kruchość tego miłego skądinąd materiału mogłaby nabrać w tym komplecie znaczenia symbolu.

Na pierwsze podano barszcz z uszkami.

— Ach więc już nie tylko ściany mają teraz uszy — szepnął ktoś przerażony z końca stołu — miejmy się na baczności. Ktoś inny gwałtownie dopytywał się jakiego rodzaju grzybów użyto na nadzienie i dopiero gdy uspokojono go, że rydzów, bez obawy wziął się do jedzenia.

Zjawienie się na stole szczupaka, faszerowanego ideologią państwowo-twórczą, wywołało energiczny sprzeciw p. Paschowskiego.

— To skandal — zawołał zdenerwowany Prezes, — naruszacie tradycje, gdzie KARP po żydowsku?

Następne dania nie spowodowały już silniejszych odruchów. Sejm. sanacyjne drżące galaretki, cierpkie kompoty i wzajemne dusery zjadano nie tyle ze względu na smak, ile na długoletni trening i dyscyplinę.

Specjalnym apetytem odznaczał się tylko b. ambasador Filip-Konopowicz, który z całym spokojem i znawstwem nakładał na talerze ogromne ilości wszystkich po kolei potraw.

— No, ale Pan pałaszuje zdrowo — odezwał się nie bez cienia subtelnej ironii minister Kwiatuszkowski, — prawdziwie amerykański rozmach.

— Jakbyś Pan wiedział — odrzekł nie przerywając jedzenia zagadnięty, — właśnie po amerykańsku. Realizuję i w tej nawet dziedzinie swój program. Tylko wielkie plany, wielkie roboty, wielka akcja — wyciągną Polskę z kryzysu.

— Ha, ha — zaśmiał się w tym miejscu zgryźliwie p. Miedziakowski — po czym dla podkreślenia jak mało ceni sobie zdanie przedmówcy, wmieszał się w rozmowę Kadeta z Migową, którzy właśnie zgodnie ustalali, że dopiero od nich należy liczyć powstanie właściwej twórczości literackiej.

Ku końcowi wieczerzy podano bakalie. Rzucono się dziarsko na słodycze, pierniki, tak że p. Świtańskiemu, który na ogół wolniej się orientuje, dostała się już tylko figa.

Drobne incydenciki, które wynikły przy okazji pchania się do wetów, zlikwidował umiejętnie woj. Bezmięsowicz, oblewając walczących zimną wodą swego rozsądku, po czym zabawa potoczyła się już wartko i bez zgrzytów. Towarzystwo podzieliło się na kółka i kółeczka, zawzięcie i namiętnie dyskutujące o szkodliwości partyjnictwa i wyższości Klubu nad Stronnictwem.

— A możeby tak powróżyć — zaproponował ktoś, gdy gadanie już wszystkich męczyło, — zobaczymy, co też znajdziemy pod obrusem.

— Dajcie spokój — uśmiechnął się dobrotliwie starszy z dwu braci oświatowców — sami wiemy dobrze, co się może znaleźć — siano i plewy... Lepiej wypijmy toast na cześć „surowego życia", bo choć ono i surowe, to jednak wcale przyjemne.

— Niech żyje, niech żyje! — zabrzmiały jak huragan entuzjastyczne okrzyki. Znalazła się znów wspólna platforma.

TEDDY.

Odpowiedzi Redakcji

S. K. Podkowa Leśna: Prosimy o nadesłanie przekładów nowel.



— Czy pomyślałeś gwiazdorze o prezentach gwiazdkowych dla nas?

— Mamy prezenty dla was wszystkich. Właśnie przed chwilą telegrafowałem po panią Simpson...

— A to co znowu!..

— Mamy zamiar ofiarować ją na gwiazdkę panu ministrowi Kościałkowskiemu.

— W jakim celu?

— Żeby także abdykował...

— A ministrowi Poniatowskiemu?

— Tyle ziemi, ile potrzeba na gospodarstwo chłopskie.

— Niezła myśl, a co to za laurka, którą Pan trzyma w ręku...

— To powinszowania gwiazdkowe...

— Dlaczego są pisane gotyckim pismem!?

— Bo to są powinszowania gwiazdkowe dla pana ministra Becka...

— Co macie jeszcze za prezenty?..

— Zwróciłem się do Dyrekcji kolei z prośbą o skasowanie porannego pociągu, Warszawa — Kraków... Bo on przychodzi ósma pięć...

— Rozumiem takie rozporządzenie, będzie najlepszym prezentem dla gen. Sławoja Składkowskiego...

— Poza tym zwróciłem się jeszcze i do innych instytucyj....

— Umieram z ciekawości...

— Poprosiłem p. Bluma, żeby wystawa paryska była czynna conajmniej przez lat 10.

— Słusznie — to będzie najprzyjemniejszy upominek dla Braci Jędrzejewiczów.

— A co macie dla p. Miedzińskiego?

— Nic... Nie możemy znaleźć dla niego odpowiedniego prezentu... Żadna zabawka mu nie zaimponuje... Ma przecież cały Sejm do zabawy...

— Zakupiliśmy wspaniały statek, który będzie miał imię jego programu...

— Jaki znowu statek?

— Statek „Bajka"...

— A dla redaktora Niedziałkowskiego?

— Rocznik bratniego organu.

— A dla mnie co — zawołał p. Rybarski?

I gwiazdor dał mu książkę, dla tropienia nadużyć przeciwników politycznych...

Redaktorowi Piaseckiemu dostała się piastowska sukmana...

Redaktor odp. Antoni Szperlich. Redaktor Jan Rembieliński Kierownik działu literackiego Stanisław Miłaszewski.
Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z. o. o. Drukarnia Literacka, Al. Jerozolim